NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. **W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.**

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. | Kraków, 2 lipca 1910. | Nr. 27.

Aresztowanie B. Rakowskiego.

(Treść na str. 2).



Od Administracyi!

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy o rychłe nadesłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem do 7 lipca prenumeraty nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę z **Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma **Kraków, Zacisze 7;** prenumerata wynosi:

Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. 25 fen.

Do końca roku 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. już wraz z przesyłką pocztową.

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

Biuro G. Ungra, Warszawa,

Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Do końca roku 3 Rbs. 60 kop. — z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop.

Ze względu na zbliżający się czas wyjazdów na letnie mieszkania, prosimy wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów o nadsyłanie 40 halerzy (w markach pocztowych) za zmianę adresu.

Aresztowanie B. Rakowskiego.

(Do illustracyi tytułowej).

Głośny z powodu sensacyjnych rewelacyi o szpiegostwie pruskiem w Galicyi, Bolesław Rakowski, sam były szpieg rządu pruskiego a następnie rzekomo „nawrócony", dostał się w ubiegłym tygodniu, jak donoszą dzienniki, w ręce policyi pruskiej.

Rakowski mieszkał w ostatnich czasach w Paryżu, gdzie go jednak tajni ajenci pruscy stale mieli na oku. Przed paru dniami wybrał się w Poznańskie, gdyż tam przebywa jego żona, z którą chciał się zobaczyć. Dowiedziały się o tem władze pruskie i roztoczyły bardzo baczną inwigilacyę nad swym niewiernym poddanym. W chwili, gdy Rakowski stanął na granicy niemieckiej, żandarmerya ujęła go i niezwłocznie odstawiła do zakładu umysłowo chorych, w ten sposób bowiem chcą Prusacy uniknąć dalszych kompromitujących rząd rewelacyi Rakowskiego, do czegoby niewątpliwie rozprawa sądowa dała nową sposobność.

Chwilę aresztowania Rakowskiego na granicy francusko-niemieckiej przedstawia nasza rycina tytułowa.

Uroczystość grunwaldzka w Żywcu.

Rok grunwaldzki zapowiada się wspaniale. Będzie niewątpliwie tem, czem go chce mieć ogromna większość społeczeństwa polskiego, będzie potężną, poważną manifestacyą uczuć narodowych, porachunkiem sił społecznych, wyrazem i dowodem dojrzałości wszystkich sfer.

Z wielu miast i miasteczek a nawet wsi polskich dochodzą już wiadomości o uroczystościach, urządzanych tam ku uczczeniu wiekopomnego zwycięstwa. Objaw to bardzo dodatni i bardzo sympatyczny, dowodzący wielkiego uświadomienia narodowego w najszerszych masach ludu.

W rzędzie miast, które już uczciły rocznicę grunwaldzką, stanął prawie na czele Żywiec, gdzie wspaniały obchód narodowy odbył się w ubiegłą niedzielę.

Uroczystość poprzedził piękny wieczór w sali „Sokoła"; zebrała się tam tłumnie publiczność miejscowa i z okolicy; na program złożyły się: słowo wstępne, produkcye chóru, deklamacye i przedstawienie obrazu fantastycznego Maryi Bogusławskiej p. t. „Sąd Europy".

Właściwy obchód rozpoczął się wczesnym rankiem w niedzielę, odegraniem hejnału z wieży kościelnej a następnie pobudką muzyki strażackiej z Miłówki po ulicach miasta. Następnie zgromadzili się uczestnicy obchodu, więc młodzież, Sokolstwo i tłumy publiczności przed gmachem „Sokoła", skąd ruszono pochodem do kościoła farnego. Po uroczystem nabożeństwie dziękczynnem i kazaniu, pochód podążył ku pomnikowi grunwaldzkiemu, który stanął w Żywcu staraniem komitetu i w dniu uroczystości miał być osłonięty. Pochód przeszedł ulicą Podgórską, Krakowską, Jagiellońską, Rynkiem, Kościuszki i Kraszewskiego.

Tam nastąpił kulminacyjny punkt uroczystości, t. j. odsłonięcie pomnika i oddanie go miastu, poczem złożono wieńce i pochód się rozwiązał.

Popołudniu urządzono na boisku sokolem wspaniały festyn o bardzo pięknym i urozmaiconym programie.



Uroczystość grunwaldzka w Żywcu: Grono mieszczan i mieszczanek żywieckich.

Cała uroczystość wypadła wspaniale i pozostawiła u uczestników jak najpiękniejsze wrażenie. Do podniesienia powagi i nastroju przyczynił się tłumny współudział Sokolstwa oraz dziarskiej banderyi konnej włościańskiej.

Szereg zdjęć fotograficznych, dokonanych w Żywcu podczas uroczystości przez naszego fotografa redakcyjnego, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Zgon zasłużonego parlamentarzysty.

Z pośród zasłużonych naszych parlamentarzystów ubyła w ubiegłym tygodniu postać jedna z najpiękniejszych i najsympatyczniejszych, śp. Józef Popowski, emerytowany major ułanów i były poseł do parlamentu.

Sp. Popowski pochodził z Ukrainy, a był synem zamożnej rodziny mieszczańskiej. Jako dwudziestoletni młodzieniec zaciągnął się w szeregi powstańcze i walczył dzielnie w obronie wolności. Po upa-



Uroczystość grunwaldzka w Żywcu: Sokolstwo, które uczestniczyło w obchodzie.



Uroczystość grunwaldzka w Żywcu: Pomnik, wystawiony w Żywcu na pamiątkę zwycięstwa pod Grunwaldem.

dku powstania styczniowego wyjechał za granicę, skąd wrócił do kraju w 1870 r. i wstąpił do armii austryackiej, gdzie dosłużył się stopnia majora i w tej randze przeszedł w stan spoczynku. Wystąpiwszy z armii, poświęcił się śp. Popowski publicystyce i polityce. Wybrany posłem do parlamentu z wiejskiej kuryi okręgu Bochnia-Brzesko, a następnie z kuryi wielkiej własności wadowickiej, należał do bardzo czynnych i pracowitych człouków naszej reprezentacyi. Jako znawca stosunków wojskowych, obejmował stale w komisyi budżetowej referaty obrony krajowej, z tej samej racyi desygnowany bywał zawsze przez Koło polskie do wspólnych delegacyi, gdzie powierzano mu najważniejszy referat wojskowy t. zw. „Extra ordinarium“. Wybitna inteligencya, takt i znajomość stosunków zapewniły śp. Popowskiemu bardzo poważne stanowisko w świecie parlamentarnym.

Uzupełnieniem działalności politycznej śp. Popowskiego były jego broszurki, odnoszące się do aktualnych spraw politycznych, a skierowane przeciw zaborczości jednego z sąsiednich mocarstw; broszurki te były tłómaczone na język angielski i francuski.

W ostatnich latach z powodu podeszłego wieku i złego stanu zdrowia, usunął się śp. Popowski z widowni życia publicznego i po ciężkiej chorobie zakończył życie w Krakowie.

Pogrzeb odbył się przy współudziale wojskowości i z honorami wojskowymi w niedzielę.

Cześć Jego pamięci!

Doniosły wynalazek.

Jednym z największych wrogów ludzkości jest obok gruźlicy kiła, która szczególniej w większych środowiskach przybiera w ostatnich czasach wprost zastraszające rozmiary i przyczynia się do powolnego zdegenerowania ludzkości. Usiłowania uczonych badaczy nie potrafiły dotąd wynaleść na nią środka, obecnie dopiero, jak donosi prasa lekarska, udało się profesorowi dr. Ehrlichowi z Frankfurtu sporządzić preparat, który powoduje zamieranie zarazków chorobowych, skutkiem czego usuwa nawet zastarzałe objawy chorobowe.

Długoletnie doświadczenia dra Ehrlicha wykazały znakomitą działalność preparatów arsenowych w chorobach zakaźnych, wywołanych przez t. zw. krętki (spirylle) n. p. śpiączce lub kile. Swój preparat nazwał „606“. Zastrzykiwano go podskórnie paralitykom i tabetykom w szpitalu Uchtspringe pod Magdeburgiem i otrzymano nader zadowalniające rezultaty. Dalszy szereg prób przeprowadził radca sanitarny Wechselmann w szpitalu Virchowa i przekonał się, że u chorych na kiłę, którym nie pomagały ani rtęć, ani jod, ani odwar Zittmannowski, po kilku już injekcyach otrzymywano wybitne polepszenie. Czy metoda ta jest trwałą i czy nie posiada dla organizmu jakichś ubocznych ujemnych skutków, dotąd nie stwierdzono, dotychczasowe jednak rezul-



Zgon zasłużonego parlamentarzysty: Ś. p. Józef Popowski, były poseł, w mundurze majora ułanów.



Uroczystość grunwaldzka w Żywcu: Banderya włościańska, która uczestniczyła w obchodzie.

taty każą wnosić, że, jeśli nie wynaleziono jeszcze właściwego środka zaradczego, to w każdym razie jest się na dobrej drodze, która może zawieść do upragnionego celu.

W dniu 22 czerwca zajmowało się berlińskie Towarzystwo lekarskie epokowym wynalazkiem dra Ehrlicha, odznaczonego w r. 1908 nagrodą Nobla za badania nad surowicami ochronnemi. Radca Wechselmann, profesorowie Michaelis i Tomaszewski, oraz Kromayer i Alt stwierdzili zgodnie na podstawie przeprowadzonych doświadczeń, że nowy środek, jeśli nie we wszystkich wypadkach, to w każdym razie w wielkiej ich liczbie, wywołał wprost zadziwiające polepszenie. Dotychczas kiła była chorobą, która nawet przy gruntownem leczeniu trwała czas długi i okazywała skłonności do powrotnych objawów i dziś potrzeba będzie długiej obserwacyi na tych samych pacyentach, by stwierdzić, czy wyleczenie jest zupełnem i stałem. Bądź co bądź nie było jednak dotąd środka, któryby w tak krótkim czasie i już po jednorazowem użyciu sprowadzał tak świetne rezultaty.

Wynalazcy podziękowano za pracę burzliwymi oklaskami, a on ze znaną skromnością oświadczył, że nie jemu, lecz tym należy się wdzięczność, którzy dostarczyli mu środków naukowych do robienia doświadczeń.



Kongres słowiański w Sofii: Udekorowana na przyjęcie gości główna ulica Sofii, Witoszka.

Pożegnanie Europy.

Po kilkotygodniowym pobycie w Europie, po szeregu oficyalnych i nieoficyalnych wizyt w stolicach wszystkich prawie wielkich mocarstw, rozstał się były prezydent amerykańskich Stanów Zjednoczonych Roosevelt ze starym lądem i powrócił do ojczystej Ameryki.

Swą podróżą po Europie spopularyzował Roosevelt swe nazwisko wśród europejskich krajów, dzienniki bowiem rozpisywały się szeroko o wszystkich szczegółach jego pobytu w rozmaitych miastach. Można więc dziś Roosevelta nazwać śmiało najpopularniejszym człowiekiem w świecie, zna go bowiem i Ameryka i Afryka i Europa.

Na rycinie naszej widzimy Roosevelta na pokładzie statku, który odwozi go z Europy do Ameryki. Serdecznym gestem żegna były prezydent Stanów gościnny ląd stary.



Pożegnanie Europy: Roosevelt w chwili odjazdu z Europy do Ameryki.



Doniosły wynalazek: Prof. dr. Paweł Erlich, dyrektor zakładu dla badań nad surowicą ochronną w Frankfurcie.



Sejm bośniacki: Sala obrad sejmu bośniackiego w ratuszu w Serajewie; na trybunie wiceprezydent Sola (X).

Mau ice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

8 (Ciąg dalszy).

Dolores Kesselbachowa nie zatrzymała Edwarda, służącego swego męża. Zabrała ze sobą tylko towarzyszkę swą, Gertrudę, z którą przyjechała w parę godzin po spełnionej zbrodni i siostrę Gertrudy, Zuzannę, którą miała przy sobie w roli panny służącej i którą sprowadziła z Monte Carlo. Obie siostry były do niej ogromnie przywiązane i starały się oszczędzić jej wszelkich trudów, wszelkich kłopotów domowych, wszelkiej fatygi. W pawilonie cesarzowej (tę nazwę nosił bowiem na pamiątkę cesarzowej Eugenii) płynęło życie jednostajnie, cicho, biegiem wciąż tych samych, mało znaczących wydarzeń.

Po trzykroć już automobil, zamawiany telefonem, woził panią Dolores do Pałacu Sprawiedliwości, gdzie na nią czekał pan Formerie. Sędzia stawiał jej za każdym razem szereg pytań, zapisanych z góry w notesiku, a których naiwność, brak związku i jałowość dziwiła ją niepomiernie. Odpowiadała jak umiała najlepiej. Ale w czemżeż ona mogła dopomódz przy śledztwie? Nic nie wiedziała, nie podejrzewała nikogo. Pan Lenormand, z którym się także spotkała w gabinecie pana Formerie, wypytywał ją o całe otoczenie pana Kesselbacha, o ich stosunki światowe i o stosunki handlowe jej męża. Ale mimo serdecznego stosunku, w jakim żyła z mężem, o interesach jego nie wiedziała nic. Powróciwszy do Garches, kładła się natychmiast i już nie wychodziła wcale, chyba raz po raz na króciutką przechadzkę, nie dalej, jak do stawu.

Była to kobieta łagodna i nieudolna, którą mąż jej, człowiek czynny i energiczny, kochał właśnie za tę jej nieudolność i pełną wdzięku słabość. Ona sama mawiała, że najlepszą cząstkę życia spędzała na swej otomanie, marząc i drzemiąc. A teraz popłakiwała na swej otomanie, nieliczne zaś osoby, które ją odwiedzały, przejezdni jej znajomi, dostawcy i służba zakładu, widywali u niej zawsze oczy zaczerwienione od łez.

Wizyta Genowefy sprawiła jej przyjemność, rozerwała nieco jej ponure myśli. Włożyła kapelusz, zarzuciła kołnierz futrzany i wyszły obiedwie. W drodze skręciły w prawo i przeszły przed parkiem w Villeneuve.

— Czy wejdziemy do parku? — zapytała.

— Bardzo chętnie — odpowiedziała, śmiejąc się, Genowefa.

— Dlaczego się pani śmieje?

— Nic... głupstwo... dziwny list, który dziś otrzymałam.

I Genowefa opowiedziała wypadek z zamkniętemi drzwiami, z kamyczkiem, wrzuconym przez okno i odczytała otrzymaną kartkę.

— Niebezpieczeństwo grozi! — zawołała Dolores, nagle bardzo niespokojna — ależ w takim razie nie trzeba tam iść!

Genowefa ukazała ręką pusty zupełnie park.

— Cóż może grozić? Przecież niema tu nikogo. Zresztą okna czterech pawilonów wychodzą na staw. Za białego dnia któżby się ośmielił?

— To prawda — odpowiedziała Dolores — niech mi pani daruje, jestem tak zdenerwowana...

Obiedwie młode kobiety, rozmawiając o szkółce Genowefy, o zasiłku, który pani Kesselbachowa ofiarowywała na jej rozszerzenie, stąpały po zielonym trawniku pod cieniem starych drzew. Niebo przebłyskiwało poprzez gałęzie, które lekki wietrzyk kołysał, a w powietrzu unosiła się woń wiosny i młodej zieleni. Dotarły wkońcu do brzegu stawu; obszedłszy go, oparły się o parapet mostku, prowadzącego na wyspę. Na skłonach trawnika dokoła nieruchomej wody stokrotki, kluczyki, mlecze i fiołki tworzyły różnobarwne kępki. Słońce chyliło się ku zachodowi.

— Boję się — rzekła Dolores, wstrząsnąwszy się całem ciałem.

— Czego? — odparła, zadrżawszy Genowefa nic nam nie grozi przecież!

— Tak, tak! Zapomniała pani o liście... A potem ten widok jest rozpaczliwie smutny... Niech pani popatrzy na tę martwą wodę... Pójdźmy już... Która godzina?

— Szósta za dziesięć minut. Ja sama mam spotkanie, na które stawić się muszę. Ale niech pani słucha... trąbka automobilu... Niech mi pani wierzy, jesteśmy zupełnie bezpieczne!

— Jakaż ja jestem wrażliwa! — rzekła młoda kobieta. — Zepsułam pani spacer, moja droga pani! I czego? czego? Oto trzech żandarmów, najniespodziewaniej w świecie... Przy automobilu coś im się zepsuło, naprawiają go...

— Trzech ludzi ku naszej obronie — roześmiała się Genowefa. — Czy teraz pani spokojna?

— O tak... tak... Ale powtarzam pani... ten staw i ten list pani... Na przeprosiny odprowadzę panią do domu. Pokaże mi pani swoje uczenice. I mnie to trochę rozerwie.

Pani Dolores pierwsza wstąpiła na mostek. Końcem parasolki jednakże zawadziła w szparę między deskami i parasolka jej upadła. Genowefa żywo nachyliła się po nią. Jeszcze jednakże nie zdążyła się wyprostować, gdy poczuła, że ręka czyjaś chwyta ją za ramię. Równocześnie Dolores krzyknęła i przewróciła się, potrącona przez dwóch ludzi.

— Tylko bez hałasów, moje dobrodziejki — roześmiał się grubo Varnier — bo inaczej może być źle z wami... Julek, zaknebluj usta wdowie, jeśli tylko piśnie.

Genowefa bezsilna, milcząc, dała się ciągnąć, gdyż rozumiała, że wszelki opór byłby daremny.

— Pójdź, gołąbko, do klateczki!

Varnier wsadził ją do powozu, który za szybami miał wewnętrzne okiennice. Zaraz też tam i panią Dolores omdlałą wrzucono z kolei. Dwóch ludzi wsiadło, zamknięto drzwiczki i automobil zaczął podskakiwać po drodze, jak zwierz niecierpliwy, nagle wypuszczony. To wszystko razem nie trwało dziesięciu sekund. A jednak w chwili zamykania drzwiczek dwaj mężczyźni i Genowefa dojrzeli z błyskawiczną szybkością jadący z przeciwnej strony automobil.

— Cicho! — zawołał Varnier — odkryto nas! Otwórz twoją okiennicę, Hipolicie, żeby można widzieć... bo to z twojej strony!

Hipolit posłuchał. W tej chwili skrzyżowały się automobile i dwaj bandyci dojrzeli jakąś postać, żywo gestykulującą. Varnier rzucił się do małej szybki w głębi automobilu.

— Dyabli nadali! Stają... zaraz zawrócą!

— Gonią nas! gonią! Ile, jak miarkujesz, możemy mieć awansu?

— Z pięćset metrów! Co nam zrobią?

— Zamknij gębę! Nasza maszyna cięższa! Ha!... Varnier spuścił przednią szybę.

— Słuchaj, Julek! Tysiąc franków, jeśli nas wyciągniesz z matni!... Dwa tysiące!... A spiesz że się, niedołęgo, nie ruszamy z miejsca!

Teraz droga podnosiła się w górę, potem prowadziła spadkiem w dół i znowu szła pod górę. Ekwipaż zdawał się lecieć nad ziemią, przelatywać w pędzie ze wzgórza na wzgórze, nie dotykając dna dolin.

— Tor kolejowy! — ryknął Varnier. — Czy otwarta baryera? — Tak... Ale idą ją zamykać... Juliuszu, przejedź za wszelką cenę!... Dalej! prędzej! Ach, ty idyoto!... Górą nasza!... Przejeżdżamy... A teraz na nich kolej!... — Obejrzał się.

— O, jak się toczą z góry! Ach złodzieje! jak to im drogi ubywa!

Zaśmiał się rubasznie.

— Stójcie, poczciwcy! Zamykają wam baryerę przed nosem... Jacy oni niegrzeczni!... Bardzo was za nich przepraszam!

Zaklął:

— Do starego dyabła! A jednak jadą!... Nie, nie może być... połamią wszystko... Ach, gałgany! przejeżdżają... no proszę, udało im się!

Brutalnie chwycił ramię Genowefy i potrząsnął nią niezbyt grzecznie.

— Smiejesz się, ty gąsko?... Tak, widzę ci to z oczu, że masz nadzieję... O, rachuj na to, rachuj gołąbeczko, jeszcze nie koniec... Juliuszu, jeżeli dasz się dogonić, palnę ci w łeb.. Ach, spiesz że się, ty ślimaku!...

Lasy Viroflay... Z lewej strony dojrzeć już było można pałac w Versailles. Nagle rozstajne drogi... domy...

— Na prawo Julek... Dobrze...

Znowu wyjrzał tylnem okienkiem.

— Oto i oni! Ach, apasze!... Zaledwie o trzysta metrów za nami... nie więcej!... Masz tobie! Wdowa płacze... Słuchaj, wdowo, nie szlochaj, bo wyślę cię do twego męża! Chybaj, Julek!... Hipolicie, wyciągaj nóż i jeżeli wdowa dostanie spazmów... Chybaj, Julek!

Tymczasem wszystko po drodze, drzewa, pola, horyzont — zdawało się poddawać zwycięskiemu automobilowi. Przestrzeń nie stawiała oporu... zdawało się, że nie istnieje... Było jednakże coś, co groziło tej zapamiętałej ucieczce i oni wszyscy trzej czuli to, jak ptak, który czuje drapieżcę, co czyha nań, sięga go i pochwyci. Nie patrząc nawet, wiedzieli, że każdy obrót koła zbliża ich ku nieuniknionej porażce. Tyle a tyle centymetrów odległości mniej na każdym metrze... to się dawało obliczyć, to było nieuchronne.

— Przynaglajżeż Julek... choćby miało trzasnąć... czy tak, czy tak!

Ale nie było rady. Drapieżny ptak krążył tuż za nimi i już ich pazurami dusił. Sto metrów odległości — a potem już tylko pięćdziesiąt. Już słychać było dygot maszyny i okrzyki zwycięsców.

— Widzę ich, widzę! — mówił Varnier — na lewo szofer, na prawo sam pan... śmieje się, łotr! Już tylko trzydzieści metrów... już tylko dwadzieścia... coraz mniej.

— Dobył rewolwer z kieszeni! Celuje! — wołał Varnier. — Uchyl się, Julek!

Rozległ się odgłos wystrzału. Automobil nagle zatoczył się w lewo. Z wysiłkiem Juliusz skierował go na prawo.

— Co takiego? Co się stało? — krzyczał Varnier. — Pneumatyk zepsuty, czy tak?

— Tak, pęknięty... ten z tylnego koła...

— Ach, szelma! jak to dobrze wycelował!... Zatrzymajże, do licha!

Juliusz zahamował. Automobil nagle na środku drogi przystanął. Tymczasem już druga maszyna zawracała i zastawiała im drogę.

— W nogi, chłopcy! — ryknął Varnier — czmychać! a żywo!... Żegnajcie miłe kokoszki!

Szybko otworzył drzwiczki z prawej strony, wyskoczył zręcznie, jak kot wydrapał się na burtę przydrożnego rowu i podał rękę obu towarzyszom. Dwa strzały padły. Parę ziarenek piasku prysnęło mu na nogę.

— Nie, mój panie, tego już za wiele! — krzyknął. — Żegnam pana! Kłaniam uniżenie!

Popchnął towarzyszy swoich na żywopłot, biegnący wzdłuż burty, przepchnął ich wierzchem poprzez ciernie, sam ostatni przeskoczył i zniknął.

III.

Genowefa przygarnęła się do Dolores i pocieszała ją.

— Poszli sobie... jesteśmy ocalone... niech się pani uspokoi!

Pani Dolores szepnęła:

— Och, jak ja się boję... oni gotowi wrócić!

— Nie wrócą, nie. A oto idzie ten pan z tamtego automobilu.

Drzwiczki z lewej strony otworzono żywo. Genowefa przemówiła błagalnie:

— O, proszę pana, ta pani jest chora...

— Czy może ranna? — odezwał się mężczyzna, do którego Genowefa mówiła. — Czyżby ci nędznicy...

— Nie, nie... to tylko ze strachu... ze wzruszenia... A zresztą pan zrozumie, gdy powiem, że ta pani, to pani Kesselbachowa...

— Och!

Podał Genowefie flakon z solami, który ona szybko podsunęła towarzyszce, i dodał:

— Niech pani podniesie ametyst, który służy za korek; zamyka on małe pudełeczko, a w niem są pastylki. Niech ta pani zażyje jedną... jedną tylko, nie więcej... bo to silnie działa.

Po trochę obcej wymowie niektórych sylab i po brzmieniu litery r, poznać było można, że to cudzoziemiec, Słowianin. Był to mężczyzna w wieku około lat trzydziestu ośmiu do czterdziestu, przez którego kasztanowate włosy przeświecały na skroniach nieliczne siwe nitki. Cera świadczyła o wybornem zdrowiu, wąs nosił bujny i bardzo krótko przystrzyżone faworyty, rysujące się zaledwie na świeżej skórze policzków. Pod rozpiętym automobilowym płaszczem widać było eleganckie jego ubranie, popielaty tużurek, dobrze wcięty w talii i kamizelkę białą pikową.

Pani Dolores zwolna przychodziła do siebie. Zrazu zdziwiona, nie rozumiała, co się dzieje. Po chwili, odzyskawszy pamięć, skinieniem głowy dziękowała swemu wybawcy. Wtedy on pokłonił się nisko i rzekł:

— Niech pani pozwoli, że się przedstawię: Jestem książę Sernin.

Znane to było imię, często się je czytywało w recenzyach z życia wielkiego świata.

— Nie wiem, jak panu wyrazić moją wdzięczność — szepnęła pani Dolores.

— Nie wyrażając jej wcale, pani.

Książę zwrócił się do swego mechanika.

— Czy sądzisz, Oktawie, że naprawa zabrałaby wiele czasu?

— O, bardzo wiele, proszę pana, a nawet nie mam ze sobą wszystkich potrzebnych przyborów. Kula zrobiła znaczne uszkodzenia.

— W takim razie wpraw swoją maszynę w ruch, Oktawie. Odwieziemy te panie do domu.

— A tę tutaj zostawimy na drodze?
— Dlaczegóżby nie?
— A jeżeli oni po nią wrócą?
Książę Sernin wzruszył ramionami, jak gdyby go ta sprawa mało obchodziła wobec rycerskiego obowiązku, jaki miał do spełnienia. Pomógł wysiąść obu młodym kobietom, umieścił je we własnym automobilu i otulił w koce i okrycia, któremi rozporządzał.
W pół godziny później automobil zatrzymał się przed bramą Zacisza; na progu powitały panią Kesselbach jej obie domownice, Gertruda i Zuzanna, oczekujące na nią z niepokojem.
— Książę — odezwała się pani Kesselbach — poproszę pana o jeszcze jedną usługę. Niech pan nie mówi o tem porwaniu.. Ja ze swej strony nie mam zamiaru wnosić o to skargi...
— A jednak, pani łaskawa, to byłby jedyny sposób, ażeby się dowiedzieć...
— Ażeby się dowiedzieć, potrzebaby śledztwa— a to znów przymnożyłoby rozgłosu około mojej osoby; wynikłyby stąd przesłuchiwania, umęczenia, a ja już i tak gonię ostatkiem sił.
Książę nie nalegał. Skłoniwszy się, zapytał:
— Czy pozwoli mi pani przyjść dowiedzieć się o jej zdrowie?
— Ależ bardzo pana proszę...
Uściskała Genowefę i weszła do siebie.
Ponieważ zmrok zapadał, Sernin nie chciał pozwolić Genowefie wracać do domu samej. Ale zaledwie wyszli na ścieżkę, ujrzeli postać jakąś, wypływającą z cienia i biegnącą naprzeciw nich.
— Babuniu! — zawołała Genowefa.
Rzuciła się w objęcia staruszki, która ją ucałowała.
— Ach, moje kochanie, moje kochanie, co się stało? mów...
— A więc tak, babuniu, tak miałaś słuszność! — odpowiedziała, śmiejąc się Genowefa. — Nie trzeba było chodzić do stawu... i gdyby nie ten pan, byłabym na dobre zginęła.
— Co ty mówisz dziecko!
Genowefa opowiedziała wypadki dnia. Pani Ernemont powtarzała:
— O moja droga, jak ty się musiałaś bać!... Nigdy nie zapomnę, proszę pana... przysięgam panu... Ale jak ty się musiałaś bać, ty moje biedactwo...
— Już nic... nic... babuniu, uspokój się! przecież już tu jestem...
— Tak, ale ty się ze strachu mogłaś rozchorować!... Nigdy się nie wie, jakie być mogą następstwa... Ach, to straszne... I że też nigdy się nie dowiemy, kto mogli być ci niegodziwcy! Porywać ciebie! Z jakiego powodu? Ach, gdyby ich można odkryć!
— Odkryje się ich, babuniu!
— Jakto? Czyż miałabyś jakie poszlaki? Jaki dowód?
— Tak jest; mam.
— Poważny dowód?
— Bardzo poważny i który da nam możność odnalezienia słowa tej całej zagadki.
— Czy być może! czy być może!
Przeszli tymczasem przez ganek. Staruszka poprosiła księcia, by był łaskaw wstąpić i zaprowadziła go do saloniku. Wtedy, ująwszy rękę Genowefy, z nieukrywanym lękiem spytała:
— Więc tybyś mogła wiedzieć... Ty masz jakie dowody?
Genowefa wyciągnęła z kieszeni pomiętą kartkę papieru.
— A ten list ostrzegawczy?
— Przecież ty nie wiesz, kto ten list pisał!
— Wiem, owszem.
— Co mówisz? To podrobione pismo; to ktoś pisał lewą ręką!
Ja tak samo zrazu myślałam; to przypuszczenie narzuciło mi się w pierwszej chwili. Ale gdy się nad tem w czasie jazdy zastanawiałam, doszłam do przekonania, że tylko któraś z moich uczenic mogła podczas rekreacyi przyjść niepostrzeżenie, zamknąć drzwi na klucz i wrzucić kamyczek. Wtedy przyjrzałam się dokładnie pismu i doszłam... Tak piszą moje początkujące uczenice.
— Która z nich? Co za myśl!
— Przypatrz się sama, babuniu... To nie jest podrobione pismo, to jest pismo dziecinne. A pan co o tem myśli?
Rozłożyła arkusik na stole i mówiła dalej:
— Nic łatwiejszego... Teraz wystarczy mi wziąć kajety z ćwiczeniami moich uczenic i porównać z tem.
Szybkim ruchem pani Ernemont chwyciła arkusik i podarła go.
— Co robisz, babuniu! — zawołała dziewczyna, zaskoczona tym dziwnym postępkiem.
— Nie potrzebujesz szukać... To nie prowadzi do niczego... Nie trzeba robić rozgłosu dokoła swojej osoby... Wzywać sprawiedliwości!... imię swoje dawać dziennikom na pastwę!... Nigdy!... I tak trudnem jest życie dla młodej dziewczyny...
Genowefa była zmieszana. Patrzyła na babkę, jak na jakąś nową istotę, której nie znała. I odpowiedziała jej tym swoim tonikiem rozsądnej osóbki:
— Mylisz się, babuniu, ja najzupełniej nie myślę wzywać sprawiedliwości — i jeszcze mniej, niż ty, pragnę zwracać na nas uwagę ludzką. Ale sądzę, że byłoby dobrze, gdybyśmy same poszukały...



Słyszałam — odpowiedziała mała — jak dwie osoby mówiły o tem.

— W jakim celu? Ażeby się mścić?...
— O babuniu, co za myśl! jak gdybym ja to umiała!... Nie, ale dlatego, ażeby wiedzieć, kto jest moim nieprzyjacielem i ażeby go się strzedz! W przeciwnym razie mogą jutro powtórzyć swój zamach... a wtedy!
— Przecież ty nie możesz mieć nieprzyjaciół!
— A jednak, babuniu, mam ich widocznie!
— Gdzie? w kim?
— O tem się zaraz dowiem.
Zadzwoniła. Po chwili ukazała się służąca.
— Anno — rzekła — czy pół pensyonarki już poszły do domu?
— Zdaje mi się, panienko, że tak.
— Jeszcze niema ósmej. Herminia Caze jeszcze chyba nie odeszła.
— Istotnie panienko. Czeka w ubieralni na siostrę, która ma po nią przyjść.
— Powiedz jej, że mam do niej interes.
Anna wyszła.
— Herminia Caze — powtórzyła staruszka.
— Tak, babuniu, ten list pisała Herminia Caze.
— Przypuszczasz tylko.
— Nie. Prosząc cię, byś porównała sama list i ćwiczenia moich uczenic, chciałam tylko cię przekonać. Ale ja z góry wiedziałam prawdę.
— Jakim sposobem?
— Herminia Caze ma złe przyzwyczajenie, którego jej dotąd nie mogłam oduczyć, zakończenia każdego *a* charakterystycznym haczykiem. Otóż w tem zdaniu jest pięć *a*.
— Prosty traf... Nie, wiesz Genowefo, nie nalegałabyś...
— Trzeba koniecznie, babuniu. Porwanie, którego padłam ofiarą, nazbyt dobrze było obmyślane, nazbyt zręcznie przygotowane. Jak się to stało, że automobil przybył o pięć minut przed szóstą, właśnie w chwili, kiedy ja miałam wychodzić z parku Villeneuve? Chyba ich ktoś uprzedził. Kto jest tym szpiegiem, tym zdrajcą, przed kim powinnam się strzedz?
Pani Ernemont posiniała na twarzy. Ręce jej się trzęsły. Jeszcze mówiła swoje, gdy mała Herminia weszła.
— A! jesteś... — uśmiechnęła się Genowefa do dziecka.
Wzięła ją na kolana i zaczęła pieścić — a w miarę, jak białe jej dłonie dotykały czoła i włosów dziecka — mała, wylękniona zrazu, zaczynała się uspokajać i uśmiechać.
— Słuchaj, kochanko, muszę ci podziękować... tak, bardzo dobrze zrobiłaś, żeś napisała ten list... to dowodzi, że masz dobre serduszko...
Dziecko nie zaprzeczyło wcale, a Genowefa mówiła dalej:
— Tylko musisz mi powiedzieć, skąd ty się o tem wszystkiem dowiedziałaś? Dlaczego miało mi grozić niebezpieczeństwo przy stawie w Villeneuve? Możesz mówić... ten pan jest to nasz przyjaciel... Kto tobie powiedział?
— Słyszałam — odpowiedziała mała — słyszałam, jak dwie osoby mówiły o tem.
— Czy możesz powiedzieć, kto były te dwie osoby? Nie bój się, nic im się złego nie stanie... Mogę cię zapewnić, że pytam cię nie dlatego, ażeby im krzywdę zrobić... Powiedz, kto to taki? te dwie osoby?
— Mój brat.
— Jak na imię twemu bratu?
— Juliusz.
— A co on robi?
— Jest mechanikiem. Powozi automobilami.
— A ta druga osoba, to kto był?
— Ten drugi nazywa się Varnier.
Dziecko mówiło z zupełną szczerością. Łagodny ton Genowefy rozwiązał mu usta.
— Przy tobie rozmawiali?
— Oni myśleli, że ja śpię. Ale ja słyszałam wszystko i napisałam do pani...
— Powiedz, dlaczego do mnie napisałaś?
— Bo ja się bałam o panią... Bo ja panią kocham.
— A skąd twój brat i ten Varnier wiedzieli, że ja mam iść do stawu w Villeneuve?
— Tego to już ja nie wiem.
— A czy oni nie mówili o jakiej osobie... o takiej osobie, którą ja znam, a która im mogła powiedzieć?
— Tak! tak!
— A jak się ta osoba nazywa?
— Tego to nie wiem.
— Ale musieli ją jakoś nazywać, mówiąc między sobą...
— Tak... ale...
— Czy to jaka kobieta?
— Tak, kobieta.
— Może Anna, nasza służąca... a może panna Karolina?
— Nie... nie...
— A więc kto?
Dziecko szukało w myśli, starało się przypomnieć sobie. Genowefa, pochylona nad niem, powtarzała wpośród ogólnego milczenia:
— No?... przypomnijno sobie... nie pamiętasz?... Pomyśl tylko..

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogrzeb byłego ministra.

Zwłoki zmarłego na obcej ziemi, w Lussingrande, polityka polskiego i byłego ministra śp. Stanisława Madeyskiego, przewieziono do kraju, aby w ojczystej ziemi spoczęły na zawsze. Uroczysty pogrzeb odbył się w ubiegły czwartek w Krakowie przy udziale wielu dygnitarzy, wybitnych mężów stanu, posłów, przedstawicieli władz i mnóstwa publiczności.

Trumna ze zwłokami spoczywała w wagonie, obitym zewnątrz i wewnątrz kirem. Wokoło tego wagonu ustawili się uczestnicy żałobnej uroczystości, a więc rodzina, dalej duchowieństwo z ks. kardynałem Puzyną i biskupami ks. Pelczarem i ks. Nowakiem na czele, następnie zastępca cesarza ochmistrz dworu hr. Chołoniewski, minister oświaty dr. Stürgkh, minister Galicyi dr. Dulęba, przedstawiciele Koła polskiego z wiceprezesem dr. Czaykowskim, namiestnik dr. Bobrzyński, wielu profesorów uniwersytetu, przedstawicieli władz krakowskich itd.

Po pokropieniu zwłok i odprawieniu modłów przez ks. kardynała Puzynę, wygłosił mowę żałobną imieniem wszechnicy Jagiellońskiej, której śp. Madeyski był uczniem, profesorem i rektorem, prof. dr. Czerkawski, podnosząc wielkie zasługi zmarłego przedewszystkiem na polu nauki i wiedzy, która była dlań zawsze najmilszym, najbardziej ukochanym terenem pracy.

O działalności śp. Madeyskiego jako polityka mówił reprezentant Koła polskiego dr. Czaykowski, poczem kondukt żałobny ruszył z dworca kolejowego ku cmentarzowi rakowickiemu. Na czele pochodu szła młodzież szkół średnich, następnie weterani z 1863 r., za nimi duchowieństwo i karawan ze zwłokami. Za trumną kroczyła, żałobą okryta, rodzina, dalej ochmistrz hr. Chołoniewski, obaj ministrowie, otoczeni posłami i wyższymi urzędnikami ministeryalnymi, przedstawiciele nauki i literatury, obywatelstwo, wojskowość i publiczność. Na cmentarzu odprawił ostatnie modlitwy ks. biskup Pelczar, poczem trumnę złożono w grobowcu rodziny Kozubowskich.

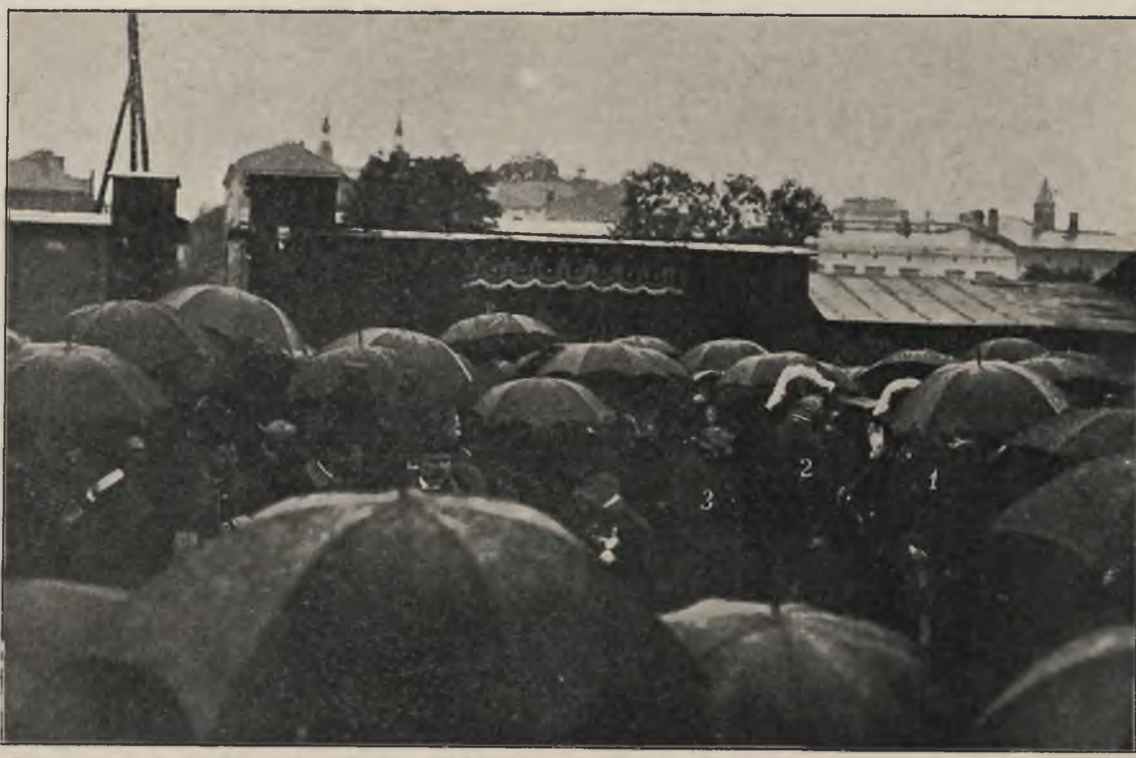
Okropna katastrofa kolejowa.

Ostatnie dni przyniosły nam długi szereg najokropniejszych wypadków i katastrof, z których każda pociągnęła za sobą mnóstwo ofiar w ludziach zabitych i rannych. Jedną z największych w tej liście była katastrofa kolejowa na stacyi Villepreux pod Paryżem.

Katastrofa nastąpiła z winy personalu kolejowego. Mianowicie pociąg ekspressowy, idący z Wersalu, nie otrzymał sygnału, oznajmiającego o zajęciu toru przez inny pociąg, a że zwykle nie zatrzymuje się na stacyi Villepreux, przeto całą siłą pary dążył w swoim kierunku. Tymczasem tor zajęty był właśnie podówczas przez pociąg osobowy. Maszynista pociągu ekspressowego zauważył niebezpieczeństwo, ale już za późno, by pociąg, posuwający się w szalonem tempie, zatrzymać. Przyszło więc do zderzenia, którego skutki były straszliwe. Lokomotywa pociągu ekspressowego wryła się wprost w ostatnie wagony pociągu osobowego, druzgocąc je i zamieniając w mgnieniu oka w stos gruzów. Grozę wypadku powiększył pożar, który objął wagony osobowe.

Na stacyi zapanowało w chwili katastrofy okropne zamieszanie i chaos. Jęki i wołania o ratunek mieszały się z narzekaniami i przekleństwami, a silny pożar utrudniał niesłychanie akcyę ratunkową. Przedewszystkiem więc usiłowała służba kolejowa przy pomocy ocalonych podróżnych ugasić ogień, a gdy to po godzinie wytężonej pracy uskuteczniono, wzięto się do wydobywania z pod gruzów rannych i zabitych. Przybyły tymczasem z Wersalu dwa pociągi ratunkowe z lekarzami i służbą i wówczas akcya ratunkowa poszła w szybszem tempie.

Ogółem padło ofiarą katastrofy w Villepreux



Pogrzeb byłego ministra: Dygnitarze, uczestniczący w pogrzebie: 1. minister dr. Dulęba; 2. minister dr. Stürgkh; 3. namiestnik dr. Bobrzyński.



Pogrzeb byłego ministra: Ceremonie żałobne przy zwłokach ś. p. ministra Madeyskiego na dworcu kolejowym w Krakowie.

Przeszło 100 osób, z czego 20 na miejscu utraciło życie, a blisko 40 jest ciężko rannych. Jasna rzecz, że i szkody materyalne są olbrzymie.

Zamieszczamy dziś dwa zdjęcia, odnoszące się do tej okropnej katastrofy.



Zmiana ministrów pruskich: Nowy minister spraw wewnętrznych, Hans Dallwitz.



Okropna katastrofa kolejowa: Wydobywanie zabitych i rannych z pod gruzów wagonów.

Obchód grunwaldzki w szkole.

Wśród szkół krakowskich wybiła się w ostatnich latach na jedno z pierwszych miejsc żeńska szkoła wydziałowa PP. Augustyanek na Kazimierzu. Pomieszczona od paru lat w nowym budynku, urządzonym wedle współczesnych wymagań hygieny i pedagogii, a prowadzona z wielkiem poświęceniem i gorliwością przez PP. Augustyanki, daje rodzicom najlepszą rękojmię, iż córki ich odbiorą staranne wychowanie i staną kiedyś w szeregach kobiet, pracujących dla dobra społeczeństwa.

Zadanie, jakie sobie PP. Augustyanki wytknęły, jest bardzo wdzięczne ale i bardzo trudne. Dzielnicę, w której szkoła ich się znajduje, zamieszkuje ludność najuboższa i najniżej pod względem kulturnym stojąca. Dziatwa tamtejsza, to dziatwa proletaryatu, biedna, zaniedbana, nie wynosząca z domu żadnych zasad, żadnej moralności. Więc PP. Augustyanki otaczają je serdeczną opieką, dbają nietylko o ich wykształcenie ale i o umoralnienie. Starają się też wpoić w młode serduszka dziatwy szkolnej szczere umiłowanie kraju ojczystego i języka polskiego.

Praca cicha, wydaje coraz piękniejsze owoce, a dowodem wysokiego poziomu, na jakim szkoła ta obecnie się znajduje, była uroczystość ku uczczeniu rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem, urządzona tam w ubiegłym tygodniu.

Program poranku wypełniły deklamacye i śpiewy, oraz przedstawienie utworu dramatycznego p. Jadwigi Strokowej p. t. „Rycerze Jadwigi“. Piękny ten, pełen patryotycznego nastroju utwór, odegrały uczenice szkoły bardzo dobrze, to też zebrani licznie słuchacze nie szczędzili oklasków zarówno młodziutkim wykonawczyniom, jak zasłużonej autorce. Uroczystość zakończył żywy obraz allegoryczny, układu artysty-malarza p. Zembaczyńskiego.

Zamieszczone dziś zdjęcie przedstawia właśnie ów żywy obraz.



Obchód grunwaldzki w szkole: Żywy obraz, układu artysty-malarza Zembaczyńskiego, w szkole PP. Augustyanek w Krakowie.

Straż ogniowa w Kolędzianach.

Corocznie miliony idą w Galicyi z dymem, ratownictwo bowiem pożarne znajduje się u nas prawie w powijakach jeszcze, a wiejskie, drewniane domy, strzechą kryte, stanowią doskonały materyal dla niszczącego żywiołu. W ostatnich czasach obudził się na tem polu żywszy ruch. Tak poszczególne jednostki jak i rozmaite instytucye starają się poprawić istniejące złe i przyczyniają się do zakładania i rozwoju ochotniczych straży pożarnych, których nie powinno brakować w żadnej wsi, ani miasteczku. Wszelką inicyatywę pod tym względem przyjąć należy z uznaniem, należy każdemu podobnemu objawowi ze wszelkich sił dopomagać i nie szczędzić moralnego i materyalnego poparcia, gdyż tylko wówczas możemy stanąć do skutecznej walki z groźnym nieprzyjacielem, którego pastwą pada corocznie po kilka tysięcy wiejskich i miejskich gospodarstw.

W bieżącym miesiącu założono nową ochotniczą straż pożarną w Kolędzianach koło Jezierzan w Galicyi wschodniej. Powstała ona pod protektoratem tamtejszego właściciela dóbr i zakładów przemysłowych, p. Ludwika Horodyńskiego, głównie za staraniem p. Karola Pilinga, który nie szczędzi czasu ani kosztów, aby nowa instytucya rozwijała się normalnie. Jako jej naczelnik pracuje też gorliwie nad wyćwiczeniem strażaków, którzy pod jego niestrudzonem a umiejętnem kierownictwem odbywają prawie co tydzień ćwiczenia ratunkowe. Dzięki poparciu właściciela dóbr i innych zdrowo myślących jednostek, straż ogniowa kolędziańska, choć dopiero niedawno założona, posiada już bardzo piękne rekwizyty pożarne, a członkowie jej, którzy pod sztandar garną się bardzo chętnie, nabrali takiej wprawy, że śmiało mogą stawić czoło i najgroźniejszemu pożarowi. Rzadko które z średnich galicyjskich miasteczek, nie mówiąc już o wsiach, może się poszczycić tak dzielną i wyćwiczoną strażą pożarną, jak Kolędziany.

Przykład dla naszych gmin godny naśladowania! Powinniśmy wytrwale dążyć do tego, by nie było w Galicyi ani wsi ani miasteczka, gdzieby nie było bodaj ochotniczej straży pożarnej.

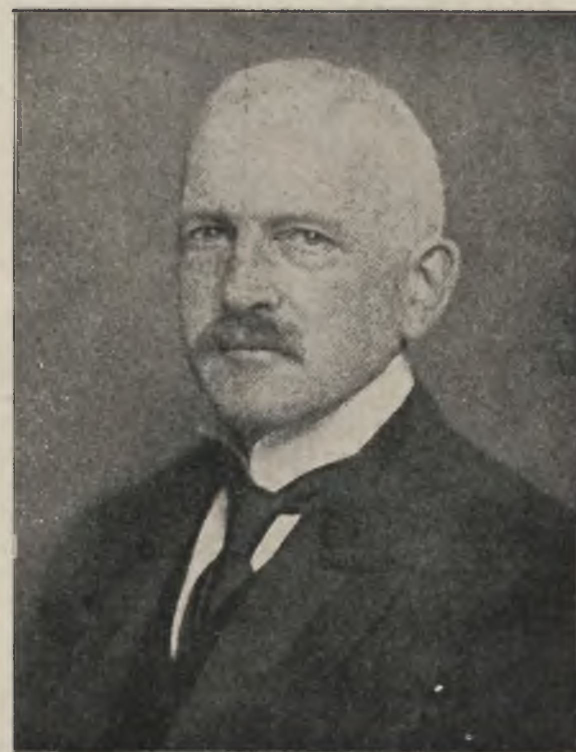


Okropna katastrofa kolejowa: Widok pogruchotanych wagonów na miejscu katastrofy.

Odznaczenie wachmistrza żandarmeryi.

Austryacka żandarmerya uchodzi słusznie za wzór podobnych instytucyi, nic też dziwnego, że rządy państw zagranicznych wzorują się na Austryi i służbę bezpieczeństwa publicznego organizują na nasz sposób. Służba żandarma jest nader ciężką i odpowiedzialną, zapewnia nam jednak tak upragniony spokój, który jest koniecznym warunkiem dobrobytu i normalnego funcyonowania maszyny państwowej. Przyznać trzeba, że korpus żandarmów składa się z wyborowych jednostek i stanowi nader harmonijną całość, poszczególne bowiem wyjątki nie mogą być brane w rachubę, owszem potwierdzają tylko regułę.

Niestety jednak za swą ciężką pracę nie może żandarm oczekiwać odpowiedniej nagrody, chyba jeśli się zadowolni przeświadczeniem, że wypełnił gorliwie swój obowiązek, bo rząd dość po macoszemu obchodzi się z tą garścią cichych a gorliwych pracowników. W ciężkiej służbie traci niejeden z nich życie, każdy prawie zdrowie, zaopatrzenie zaś na starość nie stoi w żadnym stosunku do odpowiedzialnej i wytężającej pracy. Szczęśliwy z nich, któremu za życia udało się znaleść uznanie pracy. Naczelne władze są nadzwyczaj skąpe w udzielaniu odznaczeń, choć jest to środek nader pożyteczny,



Zmiana ministrów pruskich: Nowy minister rolnictwa dr. Klemens bar. Schorlemer.



Straż ogniowa w Kolędzianach: Członkowie straży pożarnej w Kolędzianach z założycielem i naczelnikiem Plingiem (X) w pośrodku.

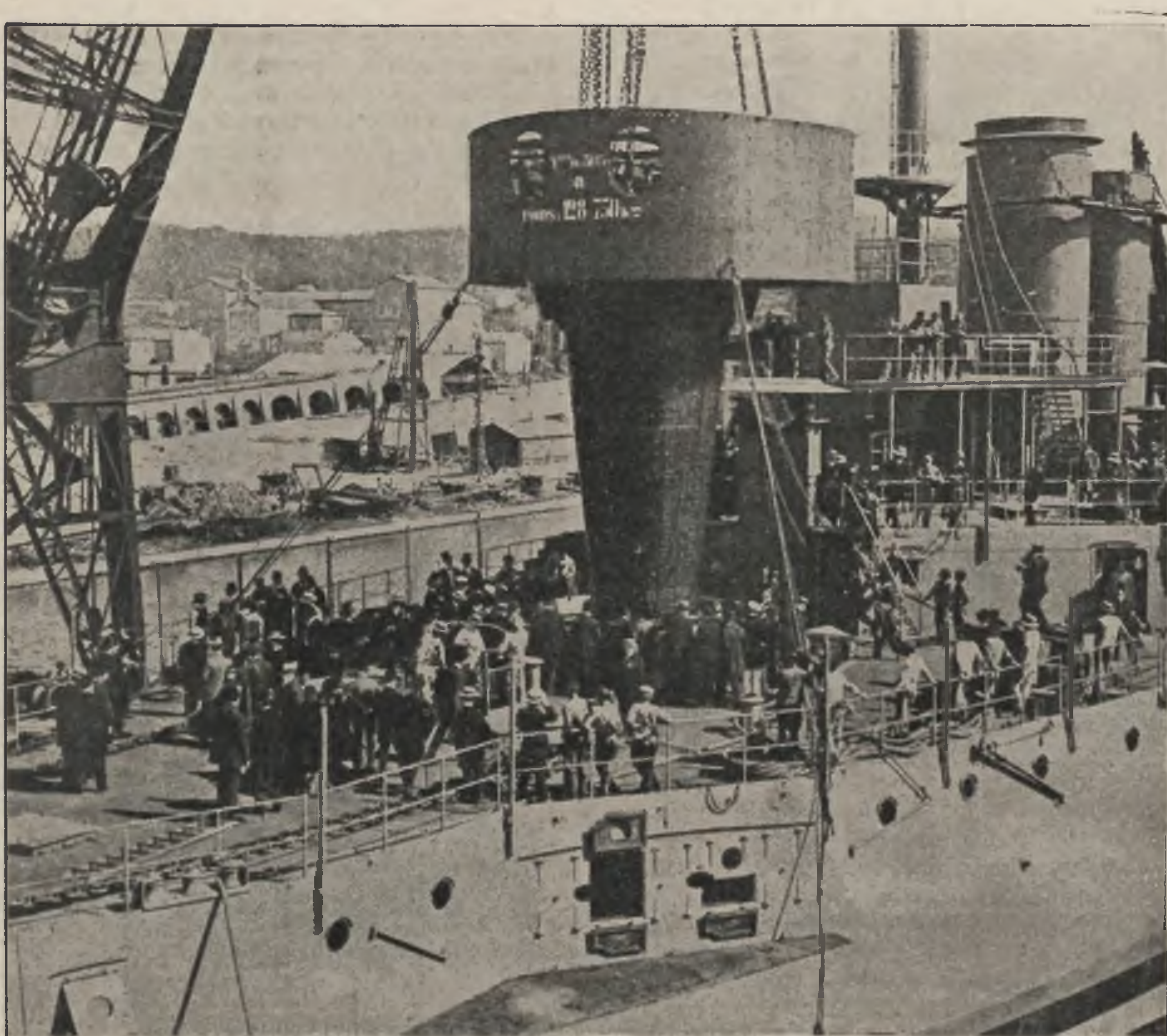
zachęca bowiem do współzawodnictwa i tem gorliwszego spełniania obowiązków.

Z przyjemnością witamy też każdy wypadek odznaczenia żandarma, choć to bowiem do polepszenia jego bytu materyalnego wcale się nie przyczynia, stanowi przecież nagrodę za ciężką, stanowić też pracę i zachętędla kolegów.

Taka właśnie uroczystość odbyła się w ubiegłym tygodniu w Zaleszczykach. Za trzydzieści lat gorliwej i nienagannej służby odznaczono wachmistrza żandarmeryi Fuhrmana srebrnym krzyżem zasługi. Po nabożeństwie w kościele parafialnym zgromadzili się w koszarach 58 pułku piechoty reprezentanci wojskowości i władz miejscowych z starostą p. Veltzem na czele. Po stosownych przemowach ozdobiono orderem pierś jubilata, poczem wszyscy uczestnicy wspólnie się fotografowali.

Turecka misya we Francyi.

Od czasu objęcia rządów w państwie ottomańskiem przez Młodoturków zaczynają się pomyślniej układać stosunki nad Bosforem. W murze chińskim, którym Turcy oddzielali się od Europy, powstają coraz to liczniejsze wyłomy, przez które dochodzi światło europejskiej kultury, z niem jednak niestety i te niedomagania, które nam już oddawna dają się we znaki. Mamy tu na myśli nienasyconego nigdy Molocha militaryzmu, tak fatalnie oddziaływującego na normalny przebieg spraw w każdem europejskiem mocarstwie. I Turcy na drodze postępu rozpoczęli od zreformowania armii w duchu europejskim, co jak wiadomo, pociąga za sobą kłopoty finansowe, których Turkom i tak nigdy nie brakowało. Europejscy instruktorzy reformują turecką armię, jej członkowie przydzieleni do różnych gatunków broni w państwach cywilizowanych, badają nowe zdobycze techniki wojennej



Turecka misya we Francyi: Członkowie misyi na pokładzie pancernika Voltaire, podczas montowania wieży strzelniczej.

Coraz częściej słyszymy także o misyach tureckich, wysyłanych w głąb Europy, które mają zapoznać się z najnowszemi urządzeniami na wszystkich polach, głównie naturalnie na polu wojskowem.

W w połowie czerwca przybyło do Francyi poselstwo tureckie, złożone z przeszło stu osób: oficerów, urzędników, kupców, przemysłowców i dziennikarzy. Na czele stoi J. E. Izmael Djenani bej, komisarz rządu tureckiego, prócz niego zaś biorą udział w wyprawie: Tewfik bej, obecny prefekt Konstantynopola, Nazim bej, dawny prefekt, major Fethy bej, wojskowy attaché przy ambasadzie tureckiej w Paryżu, Nissim Rousso, szef gabinetu ministra skarbu, Djebel Essad, naczelny redaktor dziennika *Kalem* i wiele innych osób.

Zaraz po wylądowaniu w Marsylii zwiedzono doki i urządzenia olbrzymich magazynów nadmorskich, a w dniu 11 czerwca asystowano przy spuszczeniu i montowaniu wieży strzelniczej, przeznaczonej dla pancernika *Voltaire*. Ma ona pomieścić dwie armaty 30 i pół ctm., a waży 18.000 ton.

W dniu 12 czerwca przybyli goście do Paryża, gdzie zabawili do 20 włącznie. W dalszym ciągu podróży zwiedzono główne centra przemysłowe, aby zbadać najnowsze urządzenia społeczne, handlowe i przemysłowe we Francyi.

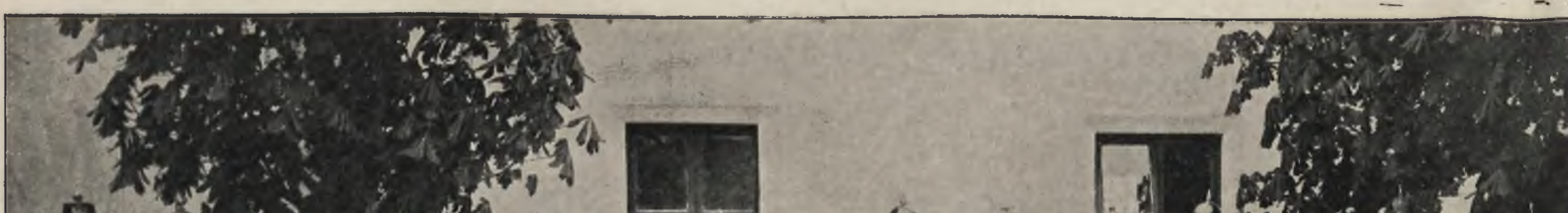
Illustracya nasza przedstawia komisyę turecką na pokładzie pancernika *Voltaire* podczas montowania wieży strzelniczej.

Pożegnanie cenionego oficera.

W życiu towarzyskiem miast, zwłaszcza małych, prowincyonalnych, odgrywa doniosłą rolę stosunek ludności cywilnej do wojskowości. Taka serdeczna zażyłość między wojskowymi a inteligencyą cywilną jest objawem bardzo sympatycznym, ożywiającym stosunki towarzyskie w całem miasteczku, rozbitem często na kółka i kółeczka. Wówczas to właśnie wojskowi są pewnego rodzaju kitem, który łączy wszystkich ze sobą. Oczywista rzecz, że wiele zależy tu od jednostek, pociągających swym przykładem innych i stwarzających w ten sposób miłą atmosferę towarzyską.

Takim właśnie czynnikiem dodatnim w życiu Zaleszczyk był korpus oficerski 4 batalionu 58 pp., stacyonowanego w tej mieścinie, a przedewszystkiem kapitan Alojzy Wilhelm, który w ciągu swego pobytu w Zaleszczykach zjednał sobie ogólny szacunek i sympatyę uprzejmością, uczynnością i taktem. Inteligencya Zaleszczyk zawdzięcza mu dużo miłych chwil. Zawsze wesoły, pogodny, uczynny, pełen humoru i inicyatywy, był *spiritus movens* życia towarzyskiego.

To też kiedy obecnie, mianowany majorem, został przeniesiony do Czech, mieszkańcy Zaleszczyk z żalem prawdziwym rozstawali się z nim, a uczucia ku niemu wyrazili w szeregu przemówień i toastów na wspólnej uczcie.



Odznaczenie wachmistrza żandarmeryi: Wachmistrz Führman (X) w otoczeniu gości i kolegów. Obok niego po prawej stronie starosta zaleszczycki Veltze.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

5

— Do Bruges, naturalnie.

Wydał się trochę zdziwiony, że go o to pytam.

— Bruges — ciągnął dalej — to kochane a prześliczne miasto starej Flandryi, jest mojem rodzinnem miejscem. Był pan tam kiedy?

— Nie — odpowiedziałem — ale często słyszałem, że to najwięcej malownicze miasto Europy i radbym je bardzo zobaczyć.

— Nie ma na świecie nic ponad Bruges — mówił dalej — miasto zamarłej przeszłości; najlepiej tam umierać.

— Jeżeli pan tak mówić będzie, gotów jestem cofnąć moje postanowienia.

— Wybacz pan, wybacz! — roześmiał się nagle, weselszy. — Lepiej się teraz czuję. Kiedyż możemy jechać? Jutro? Jedźmy zaraz jutro!

— To niepodobna — odrzekłem. — Nim kość się zrośnie w złamanej nodze, w najlepszym razie z pięć, z sześć tygodni upłynie.

Posmutniał.

— Jeszcze pięć tygodni tutaj! Ale nasza umowa wejdzie w życie zaraz? Będzie mnie pan codziennie odwiedzał? A raczej, czy zechce pan tu zamieszkać?

— Jeśli panu to sprawi przyjemność... to ja jak najchętniej...

— Ach, żeby czas prędko leciał! Ach, panie Foster, pan polubi Bruges... Cudne, stare miasto nad kanałami... Mam tam stary dom z siedmnastego wieku.

— Dom rodzinny? — zapytałem.

— Nie. Kupiłem go, kilka lat temu od znajomego. Ja się starożytnością rodu pochlubić nie mogę. Matka moja robiła koronki, a ojciec był nauczycielem. Nie żyją oboje i krewnych też nie mam.

Gdzieś w głębi mieszkania wybił zegar trzecią. W tej samej chwili zastukano cicho do drzwi i służący Alreski wsunął się dyskretnie.

— Pan dzwonił?

— Nie, Alexis. Zostaw nas.

Zrozumiawszy, że o tej godzinie Alreska udaje się na spoczynek, zacząłem się żegnać.

— Dobranoc, drogi przyjacielu — rzekł Alreska, ściskając mi rękę. — Będę pana oczekiwał jutro. a tymczasem przysposobimy pokój dla pana. *Aurevoir!*

Alexis wyprowadził mnie do drzwi. Przyjrzałem się jego twarzy.

— Jesteście Anglikiem? nieprawdaż? — zapytałem.

— Tak panie.

— Pytam, bo Alexis to takie niezwykłe imię u Anglika.

— Tak tylko nazwał mnie pan Alreska, gdym przed siedmiu laty wstępował do służby u niego. Ja się nazywam John Smedley.

— Widzę, panie Smedley — rzekłem, wsuwając mu w rękę napiwek — że jesteście rozumnym człowiekiem.

Smedley skłonił się poważnie.

— Jestem doktorem i od jutra, jak może słyszeliście, mam zamieszkać z waszym panem i czuwać nad jego zdrowiem. Otóż on mówi, że cierpi na jakąś tajemniczą chorobę.

— I mnie to samo mówił, proszę pana.

— Czy może wy wiecie, co mu dolegać może?

— Nie mam najmniejszego wyobrażenia. Ale pan bardzo opadł na siłach i coraz bardziej opada, zwłaszcza podczas nocy. Coby to, proszę pana, mogła być za choroba?

— Radbym sam wiedzieć. Mówicie, że on opada z sił podczas nocy? Czy to się okazuje większem przygnębieniem z rana?

— To właśnie, proszę pana.

— Będę do was mówił w zaufaniu... Czy nie wiecie czasami, czy pan nie ma jakiego strapienia, jakiej tajemnej troski, której nie wyjawia nikomu?

— O niczem takiem nie wiem, proszę pana.

— Dziękuję wam, Smedley. Dobranoc wam!

— Dobranoc, i ja dziękuję panu.

Nie objaśnił mnie Alexis i próżno szukałem wytłomaczenia zagadkowego stanu mojego pacyenta. Czyżby na dnie wszystkiego leżała nieszczęsna miłość do Rozetty Rozy? Nasuwało się to przypuszczenie, a jednak skłonny byłem sądzić tak, jak i ona, że Alreska nie był tego rodzaju człowiekiem, któryby zapanować nie umiał nad nieszczęśliwem uczuciem. Nie. Jeżeli Alreska ginął, to nie z miłości ginął... W tem musiało być coś więcej.

Wyszedłszy z hotelu, rozejrzałem się dokoła. Cudna to była noc letnia. Głowa moja, pełna przeróżnych wrażeń minionego wieczoru, zaczęła snuć marzenia i wizye przyszłości. Słodka twarz Rozy, chmurne i zagadkowe oczy Emmeliny wynurzały się naprzemian z chaosu myśli i wrażeń podnieconych. Stopniowo ogarnął mnie znowu jakiś lęk, jakiś nastrój przesądny, uczucie podobne temu, które przeniknęło mnie wtedy, gdym w kuli kryształowej dojrzał obok siebie słodką twarzyczkę Rozy, a w tyle za nami to jakieś groźne, przerażające widziadło... Byłaż w tem wszystkiem jakaś zła wróżba przyszłości? czyż fatalność przeznaczenia stawiała mi na drodze życia tę dziewczynę, by przez nią ściągnąć złą dolę?

Za młody byłem, by złym przeczuciom chętnie się oddawać. To suggestya Emmeliny — powiedziałem sobie i starając się otrząsnąć ponury nastrój, skręciłem w następną ulicę.

I to nagle odczułem, zanim jeszcze oczyma dojrzałem, że ktoś stoi u przeciwległych sztachetek, w cieniu wielkich drzew. Tak pewien byłem, że jestem sam jeden na pustej ulicy, że drgnąłem mimowolnie.

Nie mogłem odróżnić szczegółów twarzy, widziałem tylko, że stoi tam jakiś mężczyzna i zaciekawiony przeszedłem na drugą stronę, żeby módz mu się przypatrzeć. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że jest ciemno ale bardzo elegancko ubrany i że wygląda wielce dystyngowanie. Twarz miał ogoloną, bez zarostu; zauważyłem pięknie zarysowany profil i bystre, nie mrużące się oczy. Stał cicho i zupełnie bez ruchu, a gdym się przybliżył, spojrzał mi prosto w twarz. Straszne to było spojrzenie i wyznaję, że przyprawiło mnie o dreszcz. Złośliwość jakaś i utajona nienawiść płynęła z tych oczu. Ja jednak młody byłem, odważny i przedsiębiorczy.

— Czy mógłby mnie pan objaśnić, czy o tej porze nocy dostanę w tych stronach dorożkę? — zapytałem się, starając się mówić swobodnie i naturalnie. Pragnąłem koniecznie głos jego posłyszeć.

On jednak nie odpowiedział, stał dalej bez ruchu i patrzył na mnie tak, jak wpierw.

— To dziwne! — rzekłem z cicha, przez pół sam do siebie. — Ten człowiek musi być głuchy, albo waryat, albo cudzoziemiec!

Mężczyzna uśmiechnął się z lekka, a kąciki ust jego ułożyły się w wyraz szyderstwa. Cofnąłem się i robiąc krok wstecz, potrąciłem nogą jakiś drobny przedmiot... Nachyliłem się i w bladem świetle świtającego ranka dostrzegłem błysk drogich kamieni. Podniosłem ten przedmiot świecący...

Był to ten sam sztylecik, który parę godzin temu Roza tak ceremonialnie ofiarowała Sir Cyrylowi Smart.

Ta jednak była tym razem różnica, że drobne ostrze pokryte było krwią...

Rozdział VI.

Dom był obszerny, a piękna jego fasada wychodziła na wąski kanał. Całe Bruges jest malownicze, ale ten kącik nad *Quai des Augustins* był chyba jednym z najbardziej malowniczych. Dom o szerokiem wejściu i obszernem podwórzu miał charakter skromny i poważny. Zbudowany w stylu flamandzkim z najlepszego okresu, nosił harmonijne cechy tego stylu w dekoracyi zarówno, jak i w całem urządzeniu.

Na zielonawych wodach kanału pływały olbrzymie łabędzie; karmiliśmy je z okien jadalnego pokoju, wychodzących na kanał.

Rad byłem, że się wydostałem z Londynu. Przez ostatnie tygodnie pobytu w Londynie nie byłem rad ze siebie. I stan Alreski pod względem lekarskim pozostał i nadal dla mnie tajemnicą. Właściwie nie było tu choroby, brakło tylko woli życia, tego dziwnego, mistycznego impulsu, który nas broni przed śmiercią. Ciężko to było dla młodego lekarza znaleźć się wobec tak zawiłej medycznej zagadki i pierwszym też było to dla mnie praktycznym dowodem, jak mało jeszcze wie nauka dzisiejsza.

Pędziliśmy z Alreską żywot cichy, spokojny, smutny. Miał on, zdaje się, znaczny majątek i skala życia jego postawioną była na stopie zbytku i wykwintu. Znawca wszelkich gałęzi sztuki i życia, dom miał urządzony wytwornie i umiejętnie wyrobioną służbę. Teraz szło to wszystko zwyczajnym trybem, jak kółka w dobrze nakręconej maszynie, sam bowiem nie wtrącał się do niczego i nic go nie obchodziło, z wyjątkiem, że chwilami okazywał przelotną ciekawość w sprawie kończącego się operowego sezonu.

Na nieszczęście w tej sferze nie słychać było o niczem ciekawem. Roza dokończyła swego *engagement* i wyjechała do innej stolicy, a po jej wyjeździe sezon upadł zupełnie. Naturalnie wypadek i niedyspozycya Alreski przyczyniły się też do tego niemało. I inny był jeszcze powód, a to, nawiasem, był jedyny temat, który potrafił wyrwać z apatyi Alreskę. Mianowicie zniknięcie Sir Cyryla Smarta.

Wkrótce po przyjęciu u kuzyna mego Sullivana doniosły gazety, że Sir Cyryl jest chory; niebawem doniesiono, że wyjechał do jakichś wód austryackich dla odpoczynku i dla kuracyi. Niektóre pisma mniej poważnej marki powtarzały dziwne pogłoski, że Sir Cyryl bił się w pojedynku i został raniony, że pewnej nocy został napadnięty na ulicy, a nawet, że umarł. Tym pogłoskom jednak na ogół nie wierzono, a sezon operowy płynął w dalszym ciągu pod kierownictwem prawej ręki Sir Cyryla, owego pana Nolan, który w spince u gorsu miał ów sławny brylant.

Być może, że mogłem był rzucić pewne światło na ciemności, otaczające sprawy Sir Cyryla. Wolałem jednak pozostać na uboczu. Zamknięty w szufladzie mego biurka chowałem ów sztylecik, kamieniami wysadzany, a tak tajemniczo znaleziony na ulicy...

O tem, co mi się danej nocy przytrafiło, nie wspominałem nikomu i nikt też nie domyślał się zapewne, że młody doktór, opiekujący się Alreską, posiadał drobny przedmiot, ogniwo łączne pomiędzy dwojgiem ludzi, których w rozumieniu świata interes łączył jedynie — pomiędzy Sir Cyrylem Smart a Rozettą Rozą. Zastanawiałem się nad tem, czyby nie odesłać sztyleciku Rozie, ostatecznie jednak postanowiłem nie czynić tego, aż chyba za osobistem widzeniem i przy zdarzonej okoliczności. I często też zastanawiałem się nad tem, czy ten milczący mężczyzna o przenikającem spojrzeniu, którego wowczas spotkałem na ulicy, upuścił sztylecik ten z ręki, czy też obecność jego tam równoczesna czystym tylko była trafem. Lecz na pytanie to nie znajdowałem odpowiedzi.

Nareszcie przyszedł czas, że noga Alreski o tyle wydobrzała, iż z zachowaniem wszelkich ostrożności mogliśmy się puścić w drogę i że pewnego wieczora po uciążliwej dla mnie, bo pełnej odpowiedzialności podróży, stanęliśmy w Bruges.

Wkrótce potem zaszła mała zmiana.

Alreska ucieszył się miłym swoim domem i wkrótce zauważyłem poprawę w jego stanie. Zaczęła go opuszczać dotychczasowa martwota, począł się zwolna ożywiać. Niestety nie mógł używać ruchu na świeżem powietrzu, gdyż źle brukowane ulice nie dozwalały na przejażdżki powozem, a o chodzeniu jeszcze nie było mowy. Po pewnym czasie udało mi się nająć obszerną łódź i w piękne popołudnia znosiliśmy go ostrożnie i układali na posłaniu w łodzi, by mógł używać powietrza na sposób wenecki.

Bawiło go to i cieszyło, a powolne nasze przesuwanie się wśród dawno nieużywanych kanałów stawało się źródłem nieustannego zaciekawienia dla mieszkańców miasta, dopytujących się wciąż o zdrowie siwego swego ziomka.

Widziałem teraz jasno, że Alreska do zdrowia powraca; widziałem, że otrząsnął się z jakiegoś fatalnego wpływu, który byłby go niemal życia pozbawił. Fakt był widoczny dla mnie, ale nie umiałem wyjaśnić sobie tego faktu. Równie zagadkową była dla mnie ta poprawa, jak poprzednio upadek jego na siłach i duchu. Pomimo to starałem się wmówić w siebie, że ta pomyślna zmiana jest rezultatem umiejętnej dyety, racyonalnego trybu życia i wogóle drobiazgowej staranności i opieki, jaką tylko stale przebywający lekarz dać może choremu.

Pewnego wieczora Alreska był specyalnie wesół i ożywiony i ja tak samo. Znajdowaliśmy się w ogromnym salonie, który, podobnie jak jadalny, wychodził na kanał.

Byliśmy po obiedzie — jadaliśmy o szóstej — a Alreska leżał na swojem posłaniu, puszczając kłęby dymu z znakomitego hawańskiego cygara. Stałem w szeroko otwartem środkowem oknie i przyglądałem się śnieżnym łabędziom, sunącym w nadchodzącym zmierzchu powoli wzdłuż wód kanału. Powietrze ciepłe było i parne, a roje komarów, jedyna plaga tego miasta, zaczynały już nucić cichą swą, cienką, jękliwą skargę.

— Alresko — przemówiłem — dni twoje, jako inwalidy, już policzone...

— Dlaczego to mówisz?

— Bo nikt, naprawdę chory, nie mógłby się tak rozkoszować cygarem, jak ty w tej chwili.

— Dobre cygaro... kieliszek dobrego wina — szepnął — czemżeżby życie było bez tego?

— Parę tygodni temu byłbyś powiedział: czemżeż jest życie nawet z tem?

— Więc sądzisz rzeczywiście, że ja zdrowszy jestem?

— Pewien tego jestem.

— I ja przyznaję, że tak jest — wyznał. — Stało się to, czego się nie spodziewałem. Życie odzyskało dla mnie powab. Wróciło mi pragnienie ży-

cia. Rad jestem, że żyję. Karolu, powiodła ci się pierwsza twa kuracya.

— Nie dziękuj mi — odpowiedziałem. — Pozatem, że czuwałem nad tem, byś nie uszkodził złamanej nogi, cóż ja właściwie zrobiłem? Nic. Ty sam wiesz o tem najlepiej.

— Taki skromny jesteś, tak niepoprawnie skromny!

Potrząsłem głową i zbliżyłem się do jego posłania. Tak głęboko czułem, że nie moją zasługą było to wyzdrowienie, że przyszło do tego bez pomocy z zewnątrz! Ale niemniej cieszyło mnie to serdecznie. Zdążyłem przywiązać się szczerze do tego człowieka. Podbiły serce moje jego zalety, pogoda jego, głęboki jego zmysł sprawiedliwości, stale niezmienna uprzejmość i czystość jego duszy. Byłem jego przyjacielem. Może prawdziwszego odemnie nie miał na świecie. Dziwne okoliczności naszego spotkania zacieśniły łączący nas węzeł. Patrzyłem teraz na niego z serdecznem uczuciem i na ten raz postanowiłem skorzystać z praw, które przyjaźń daje.

— Alresko! — odezwałem się łagodnie.

— Czego sobie życzysz?

— Powiedz, co to było?

— O czem ty mówisz?

— Co to było, coś ty przezwyciężył i z czego się otrząsnąłeś? W czem leży cała tajemnica? Ty to wiesz... ty musisz wiedzieć! Powiedz to mnie!

Odwrócił oczy.

— Lepiej nie tykać przeszłości — odpowiedział. — Przypuszczając nawet, że mam o tem pojęcie, jednak nie umiałbym ubrać tego w właściwe słowa. Starałem się to zrobić. W oczekiwaniu śmierci spisałem pewne rzeczy. Ale teraz ja to zniszczę. Rozsądniejszy teraz jestem, mniej chorobliwie nastrojony. Zdaję sobie sprawę, że są dla myśli dziedziny, których bram lepiej jest nie otwierać... Zrób i ty to samo, Karolu — zapomniej.

Czułem, że miał słuszność i nucąc półgłosem jakąś melodyę, powróciłem do okna.

— Za tydzień nogą dotkniesz ziemi, nie będziesz już obnoszony, jak paczka!

— To dobrze!

— A wtedy umowa nasza dobiegnie do końca, ty zaś znów zaczniesz śpiewać.

— Ach, śpiewać! — odpowiedział z namysłem po chwili.

— Tak — powtórzyłem — śpiewać! Musisz się temu znów oddać. To cię najskuteczniej pokrzepi!

— Czy ja ci nie mówiłem, że śpiewać już nigdy nie będę?

— Możeś i mówił — odpowiedziałem — ale ja sobie tego nie przypominam. A nawet jeżeliś mówił, to jak sam przyznajesz, jesteś teraz rozsądniejszy, mniej chorobliwie usposobiony.

— To prawda! — szepnął. — Tak, muszę śpiewać. Chcą mnie mieć w Chicago. Pojadę tam i będę w Ameryce rozsławiał imię Karola Fostera!

Uśmiechnął się wesoło, a potem zamyślił się i posmutniał.

— Moja artystyczna karyera nigdy daleko nie odbiegła od tragedyi — rzekł wkońcu. — Z tragedyi wyszła, a niedawno sądziłem, że i skończy się tragedyą.

Czekałem w milczeniu, czy zechce dalej osobiste dzieje opowiadać.

— Czy słuchasz, Karolu?

Skinąłem głową. Zmrok już całkowity zapadł.

— Mówiłem ci już, że ojciec mój był nauczycielem w szkole. Był to najlepszy w świecie człowiek, ale miewał napady strasznej surowości, napady, które mijały równie prędko, jak przychodziły. Ja, jako dziecko trzyletnie, właśnie gdy zaczynałem już płynnie mówić, dostałem ataków konwulsyi; w jednym z takich ataków straciłem mowę. Ja, Alreska, nie mogłem żadnego dźwięku dobyć z gardła, ten przyszły sławny tenor przez siedm lat był bez głosu. To przecież trudne do uwierzenia, Karolu. Jak dziwne są koleje losu! Słyszałem i rozumiałem wszystko, ale nie mogłem mówić.

Znany byłem ogólnie i litowali się nademną wszyscy, jako nad biednym, małym niemową. Pewnego dnia, mogłem mieć wtedy z dziesięć lat, ojciec mój wrócił ze szkoły do domu i oparłszy głowę o stół, zaniósł się płaczem. Widząc to i ja zacząłem płakać, byłem bowiem wielce uczuciowy.

— Co tobie? co ci się stało? — pytała ojca poczciwa matka.

— Niestety! — szlochał — jestem mordercą!

— Ależ to być nie może! — odpowiedziała.

— Mówię ci, że tak jest — odpowiedział ojciec. — Zamordowałem dziecko... małą dziewczynkę! Wczoraj wykrzyczałem ją. Rozgniewałem się okropnie i skarciłem ją surowo, ponieważ zadań swoich nie umiała. Kazałem jej iść do domu, ale ona, zamiast iść do domu, poszła i rzuciła się w kanał. Utopiło się biedactwo... Przyszli mi to dziś powiedzieć. Tak, jestem mordercą, bo to z mojej winy!

Płakałem, podczas gdy matka pocieszała ojca, przedstawiając mu, że jeżeli był surowym, to przez wzgląd na dobro dziecka, nie przewidując nieszczęsnego rozwiązania. Ale próżnemi były jej słowa.

Poszliśmy wszyscy spać. Wśród nocy posłyszałem miauczenie mojego ukochanego, siwego kotka za ścianą domu. Przez nieuwagę zostawiono go na dworze. Wstałem więc i zeszedłem na dół, chcąc ko-



powolne nasze przejeżdżki wzdłuż kanału...

ciaka wpuścić. Droga wypadała mi przez kuchnię. Ciemno było, a ja o coś potrąciłem w ciemnościach. W przerażeniu wbiegłem z powrotem na górę i chwyciwszy matkę za rękę, pociągnąłem ją ku drzwiom. Zapaliła tylko świecę i ręka w rękę zeszliśmy po schodach do kuchni. Świeca rzucała dokoła drgające, nierówne światło a wzrok matki mojej poszedł w ślad za moim wzrokiem. Coś dziwnego zaszło w mojej krtani.

— Matko! — krzyknąłem jakimś ochrypłym, dziwnym, okropnym głosem i rzuciwszy jej się na piersi, tuliłem się do niej kurczowo. Na haku u belki sufitu wisiał trup mojego ojca. Powiesił się ze zgryzoty i wyrzutów sumienia. I tak to ja odzyskałem mowę i głos...

Cały geniusz tragicznego aktora, który człowieka tego niezrównanym czynił w Tristanie i Tannhaüserze, ujawnił mi się w tem opowiadaniu. Wzruszony byłem do głębi. Dłuższą chwilę nie mówił żaden z nas. Wreszcie Alreska podniósł rękę i cisnął niedopałek cygara za okno.

— Tak — rzekłem w końcu — to była tragedya, prawdziwa tragedya!

Alreska ciągnął dalej:

— Krytycy podnoszą zawsze z pochwałą uczuciowe zalety mojego śpiewu. Otóż ja nigdy, śpiewając, nie mogę zapomnieć o strasznych okolicznościach, wśród których los zwrócił mi to, co wpierw mi odebrał...

Nastało teraz długie milczenie. Noc ciemna zapadła, a białe łabędzie na wodach kanału wyglądały jak blade, niewyraźne duchy, błądzące w milczeniu po wodach.

— Karolu — wybuchnął Alreska, drgnąwszy — niezwykle był rozmowny tego wieczora — powiedz, czyś ty kiedy kochał?

— Nie — odpowiedziałem — a przynajmniej zdaje mi się, że nie.

I sam się zamyśliłem nad tem, czy kiedy kochałem?... czy kocham?...

— Masz w sobie to, co się kobietom podoba, będziesz miał szczęście i wiele szczęścia... Przyjmij odemnie radę... albo zakochaj się młodo, albo wcale. Zawód przed dwudziestym piątym rokiem niczem jest — zawód po trzydziestym piątym — wszystkiem.

Westchnął.

— Nie, Alresko — rzekłem, przypuszczając, że o sobie myśli — nie wszystkiem przecież?...

— Masz słuszność, odpowiedział — nawet wtedy nie jest jeszcze wszystkiem. Ducha ludzkiego nie zmoże nawet miłość. Jednakże przyjmij przestrogę. Nie pozwól, by to przyszło nazbyt późno... Ach! czemuż nie mam ci wyznać, teraz, gdy to już minęło? Karolu, ty odgadujesz, że ja głęboko kochałem. Czy ty możesz pojąć, czem miłość była dla mnie? Myślę, że nie starzeję się już, ale w młodości mojej przystojny byłem i miałem mój piękny głos. Kobiety, najpiękniejsze, najmędrsze, najmilsze, garną się do takich, jak ja. Mówię to bez zarozumiałości; to prosty fakt. Mogłem się był ożenić ze sto razy, a być kochanym — tysiąc razy. Ale ja pozostałem — takim, jakim byłem. Serce moje, jak serce młodej dziewczyny, drzemało. Odrzucałem zarówno otwarte oświadczyny śmiałych, jak ciche, nieznaczne zabiegi nieśmiałych. Kobiety nie dla mnie... Potajemnie gardziłem niemi. Doprawdy, wierzę, że tak było, nie inaczej...

A potem — nie dawniej, jak dwa lata temu — spotkałem ją — ty wiesz, kogo. I ja.. ja ten dumny i ten wzgardliwy — ja pokochałem. Cała duma moja, cała pewność siebie skruszyła się w gruz a ja padłem ofiarą męki nieodwzajemnionej miłości. Nie mogłem uwierzyć w cały ogrom mojej niedoli, nie mogłem na razie uwierzyć w to, że ona rzeczywiście mnie odrzuciła. Ale ona miała prawo. Aniołem była, a ja człowiekiem tylko. A najpiękniejszą z kobiet była...

— Była i jest... — dokończyłem.

— I jest — powtórzył. — Ale dziś już ona niczem dla mnie. Podziwiam piękność jej i jej dobroć — nic więcej. Odrzuciła mnie. Niech i tak będzie! Zrazu buntowałem się przeciw losowi, w końcu zgodziłem się z losem...

I powtórzył raz jeszcze:

— Wkońcu zgodziłem się z losem.

Byłbym coś odpowiedział na te serdeczne wyznania, lecz usłyszałem czyjeś kroki na ścieżce poza domem i na szerokiem wejściu ganku. W następnej chwili otworzył ktoś drzwi salonu i promieniejąca, uśmiechnięta postać stanęła w progu. Przedpokój był już oświetlony i sylwetka stojącej rysowała się na tle żółtej jasności.

— Więc jesteście tu, znalazłam was, tak w ciemnościach?

Alreska odwrócił głowę.

— Roza! — krzyknął zdumiony. Wyciągnął ramiona i nagle odrzucił je wtył.

Pobiegła ku nam i serdecznie uścisnęła nam dłonie, poczem chwyciła zapałki i śmiejąc się wesoło, zaczęła zapalać świecę. Następnie zdjęła woalkę i kapelusz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ustąpienie zasłużonego profesora.

Nieubłaganą jest ustawa austryacka, która twierdzi, że z ukończonym siedmdziesiątym rokiem życia profesor niezdolnym jest już do wykładów uniwersyteckich i co najwyżej jeszcze rok dozwala mu pracować dla dobra nauki i społeczeństwa. Corocznie też w obu naszych wszechnicach przechodzi w rzekomy stan spoczynku kilku uczonych, ustępują bowiem tylko z katedr, skoro tak wymaga ustawa, ale dalej pracują prywatnie w obranym kie-



Ustąpienie zasłużonego profesora: Profesor chemii na uniwersytecie lwowskim, dr. Bronisław Radziszewski.

runku. W tem położeniu znajduje się profesor chemii lwowskiego uniwersytetu dr. Bronisław Radziszewski, mąż zasłużony nie tylko na polu naukowem, ale i społecznem. Z końcem bieżącego półrocza ustępuje on z katedry, skoro tego wymaga ustawa, ciesząc się jednak pełnią sił, nie spocznie w zaciszu domowego ogniska, ale zapewne lata jeszcze pracować będzie tak skutecznie i wytrwale, jak dotąd.

Dr. Bronisław Radziszewski urodził się w r. 1838 w Warszawie. Nauki gimnazyalne pobierał w mieście rodzinnem, poczem w Moskwie studyował chemię. W r. 1862 został nauczycielem w Warszawie, wkrótce jednak wydalił się za granicę, do Gandawy i Lowanium, gdzie zyskał stopień doktora nauk ścisłych. Przez dwa lata (1870 — 1872) pełnił następnie obowiązki profesora chemii w instytucie technicznym w Krakowie, a od r. 1872 piastuje godność profesora chemii na uniwersytecie lwowskim.

Prace prof. Radziszewskiego wyrobiły mu na polu chemii rozgłośne imię. Obejmują one badania nad węglowodami, ciałami aromatycznemi, równokształtnością i wielokształtnością oraz fosforescencyą, którą wyjaśnił przez powolne utlenianie. Wyniki swych badań naukowych ogłaszał w licznych czasopismach fachowych, krajowych i zagranicznych, redagował nadto *Kosmos* i *Czasopismo towarzystwa aptekarskiego*. Znakomity pedagog, wykształcił kilka pokoleń chemików polskich i stał się twórcą osobnej szkoły. Nie szczędzono mu też dowodów ucnania za te prace. Piastował godność dziekana filozofiicznego i rektora lwowskiej wszechnicy, Akademia krakowska wybrała go na swego członka czynnego, a cesarz mianował radcą dworu i ozdobił orderem żelaznej korony. Dr. Radziszewski należał do założycieli towarzystwa pedagogicznego, nauczycieli szkół wyższych i towarzystwa przyrodników im. Kopernika.

Także i na polu społecznem położył uczony profesor wielkie zasługi, pracując nader skutecznie w lwowskiej radzie miejskiej, która też w nagrodę trudów zamianowała go obywatelem honorowym stolicy.

W dniu 2 lipca odbędzie się we Lwowie uroczyste pożegnanie uczonego profesora i zasłużonego obywatela.

Polonia w Przywozie.

Miasteczko Przywoz (Oderfurt) na Morawie, zamieszkane głównie przez ludność niemiecką i czeską, liczy jednak i spory zastęp ludności polskiej, która utrzymuje w trudnych bardzo warunkach, bo wśród obcego otoczenia, ścisłe między sobą stosunki towarzyskie.

Staraniem T. S. L. powstała tam wśród grona polskich mieszkańców trupa amatorska, której zadaniem będzie podtrzymywanie wśród Polaków nietylko życia towarzyskiego ale i ducha narodowego przez wystawianie sztuk patryotycznych.

Kto zna życie i stosunki w miastach prowincyonalnych, ten wie najlepiej, jak doniosłą rolę odgrywają tam amatorskie teatry. Skupiają one liczne grono inteligencyi danej miejscowości, szerzą wśród niej zamiłowanie do polskiego języka i polskiej literatury, są więc ważnym czynnikiem kulturnym. Jeszcze donioślejsze znaczenie mają one dla ludności polskiej, żyjącej na obczyźnie.

To też szczerze radować się należy, że i w Przywozie, gdzie ludność poska stanowi znikomą mniejszość, znalazło się grono Polaków, chętnych do pracy na niwie oświatowej, do pracy nad uświadomieniem narodowem rodaków, rzuconych na obczyznę i narażonych na wynarodowienie.

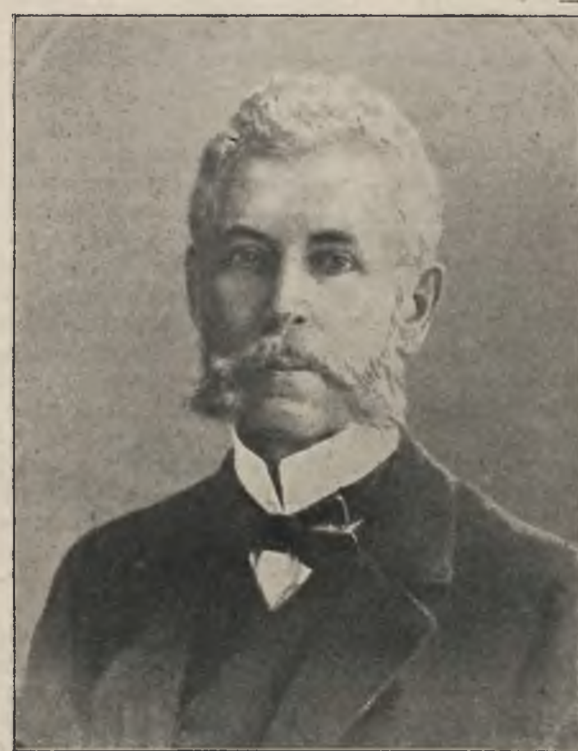
Trupa amatorska w Przywozie liczy wcale pokaźny zastęp członków, z których większość odznacza się dużym talentem, dzięki czemu przedstawienia, które dotychczas amatorowie tamtejsi urządzali, cieszyły się ogromnem powodzeniem wśród Polonii.

Młodemu stowarzyszeniu życzymy serdecznie jak najlepszego rozwoju dla dobra sprawy narodowej.

Zgon dyrektora Banku hipotecznego.

Z Purkersdorfu, zakładu leczniczego pod Wiedniem, nadeszła w ubiegłym tygodniu smutna, żałobna wiadomość o przedwczesnym zgonie dyrektora galicyjskiego Banku hipotecznego, ś. p. Bolesława Bielańskiego.

Śp. Bielański urodził się we Lwowie i tam do szkół uczęszczał, poczem wstąpił do służby w Banku



Zgon dyrektora Banku hipotecznego: ś. p. Bolesław Bielański.

hipotecznym. Obdarzony wybitnemi zdolnościami, zyskał uznanie przełożonych, szybko też awansował, zwłaszcza że w pracy i wypełnianiu obowiązków był ogromnie gorliwy i sumienny.

W r. 1893 został mianowany wicedyrektorem oddziału handlowego, a po ustąpieniu dyrektora M. Lazarusa, dyrektorem tego oddziału. Na stanowisku tem położył bardzo wielkie zasługi, zdobył też w szerokich kołach klientów Banku hipotecznego wielką sympatyę i uznanie. Wielka uprzejmość i takt cechowały każdy krok śp. dyrektora Bielańskiego.

Zmarł w 61 roku życia na chorobę sercową.



Fot St. Bogacki, Przywóz.

Polonia w Przywozie: Grono członków niedawno zawiązanej trupy amatorskiej w Przywozie.

Kronika tygodniowa.

(Tak zwana cholera grunwaldzka. — Uroczyste jej przybycie do Krakowa. — Środki zaradcze. — Kandydaci do nagrody Nobla. — Sprawa kanałowa. — Oburzenie na Bilińskiego. — Izba Panów i rekompensata dla kraju. — Rusini przeciw kanałom. — Sytuacya. — Groźba obstrukcyi. — O nowe podatki. — Wakacye posłów. — Co o Kole piszą Niemcy. — Pogoda, żniwa i drożyzna. — O piekarzach i rzeźnikach. — Po wyścigach. — Rozkopanie Rynku. — Nie będzie pomnika, ani mszy polowej).

Rozpoczynamy więc, oby tylko szczęśliwie, wakacye. Widmo cholery, nazwanej złośliwie przez kogoś grunwaldzką, zbliża się ku nam powoli, w poniedziałek narobiono nawet w Krakowie hałasu, że z Podwołoczysk zjechała ona do nas osobnym pociągiem i przyjęta została na dworcu kolejowym w sposób uroczysty przez przedstawicieli władz rządowych i autonomicznych. Z obowiązku kronikarskiego udałem się i ja na miejsce, cholery bowiem wcale się nie obawiam, gdyż jestem ubezpieczony od wypadku, przekonałem się jednak, że wiadomość była mocno przesadzoną, zupełnie w tej samej mierze, jak wieści o gwałtownem szerzeniu się tyfusu w Krakowie, które Niemcy kolportują w Poznańskiem i Królestwie, aby bodaj troszeczkę przyczynić się do uświetnienia obchodu grunwaldzkiego.

Pokazało się, że cały wypadek ograniczał się do jakiejś Bogu ducha winnej niewiasty, która w Rzeszowie dostała napadu morskiej choroby i spokojnie poszła sobie do domu. Wagon, którym jechała, przytransportowano do Krakowa i wraz z całą zawartością, tj. pasażerami i ich pakunkami poddano gruntownej dezynfekcyi. Podróżni nie byli z tego bardzo zadowoleni, tylko wóz kolejowy cieszył się, od chwili bowiem wyjścia z fabryki nie był jeszcze nigdy dotąd tak czysty.

Strach ma wielkie oczy — powiada przysłowie — nic też dziwnego, że i ja słysząc takie straszne opowieści, mimowoli poczułem w okolicy żywota jakieś niewyraźne bóle, a że to powiadają: strzeżonego i Bóg strzeże, kropnąłem sobie kieliszek pieprzówki, działającej podobno daleko skuteczniej, niż wszelkie inne środki anticholeryczne, stosowane wewnętrznie, zewnętrznym bowiem nie wierzę. Przypadłości ustąpiły jak ręką odjął, wobec czego mam zamiar przeprowadzić dalsze doświadczenia w tym względzie, a rezultat ich ogłoszę w osobnej broszurze, zatytułowanej: „Wpływ propinacyi na zwalczanie cholery i tym podobnych dolegliwości. Spodziewam się też, że chyba tego roku nie ominie mnie nagroda Nobla, skoro bowiem cesarz Wilhelm może o nią się ubiegać, dlaczegóż ja nie miałbym także postawić swej kandydatury, zwłaszcza że rady, jakich nie skąpię nigdy P. T. Czytelnikom, uprawniają mnie najzupełniej do uzyskania jej i to z działu medycyny. Cesarzowi nie zrobię tem konkurencyi, on bowiem stara się o nagrodę pokojową i powinien ją dostać, choćby dlatego tylko, że z powodu wysięku w kolanie, pokoju swego nie opuszcza.

Dajmy jednak pokój cholerze i jej następstwom, wiele bowiem osób jest tak wrażliwych, że z samego czytania gotowe jej się nabawić, a nie chciałbym nikogo mieć na sumieniu, aby potem nie narzekał, że mu zepsułem wakacye. Mamy nadto drugą zmorę, która nas gniecie, a tą jest tak zwana sprawa kanałowa, przybierająca formę tasiemcowatą i ciągnąca się w nieskończoność od r. 1901, kiedy została sankcyonowaną. Astronomowie, zajmujący się badaniem kanałów na Marsie (niebieskim, nie lwowskim) przyszli nareszcie do przekonania, że są one tylko optycznem złudzeniem, tego samego zdania są i nasi politycy w kwestyi kanałów austryackich, a prym między nimi wiedzie ekscelencya Biliński, który z wytrwałością, godną lepszej sprawy, powiada ciągle „n e m a h r o s z i!“.

Izba panów, która się tą sprawą zajmowała, przyszła do przekonania, że ustawa od r. 1901 nie odleżała się jeszcze należycie, należy ją więc poddać rewizyi, a skoro się tylko dostanie w ręce komisyi, można być pewnym, że tak prędko nie ujrzy światła dziennego, w każdym razie nie wcześniej, nim Hofrichter nie ukończy swej kary, tj. przed dwudziestu laty. Półgębkiem obiecuje się Kołu Polskiemu jakąś rekompensatę, ale jaką, nikt o tem nie wie, każdemu się zaś tłómaczy, że koszta budowy obliczono za nisko, że rentowność kanału będzie minimalna, a co najważniejsze, że zrobi on konkurencyę kolei północnej, która i tak cierpi chronicznie na galopujące suchoty. Obaj ministrowie polscy, Biliński i Dulęba, są przeciwnikami kanałów z obowiązku urzędowego, za nimi stoją jedynie konserwatyści i Stapiński ze swym sztabem, reszta posłów oburzoną jest szczególniej na Bilińskiego, którego zupełnie otwarcie nazywa najgorszym wrogiem Galicyi i szkodnikiem krajowym.

Na rękę rządowi idą naturalnie i Rusini, którzy, aby tylko dać się Polakom we znaki, oświadczają, że i oni są przeciwnikami kanałów, uznają bowiem małą ich rentowność i widzą, że koszta będą daleko większe, niż preliminowano. Sprawa powinna pójść znowu do komisyi, a wiadoma to rzecz powszechnie, że jeśli się chce w sposób elegancki ukręcić łeb jakiejś sprawie, kieruje się ją na tę drogę, a można ją wówczas uważać za żywcem pogrzebaną. Na takie uśmiercenie przy zastosowaniu zniecz ulenia ma rząd austryacki patent światowy, jeśli go zaś jeszcze nie uzyskał, powinien się co rychlej o niego postarać.

Wogóle horyzont parlamentarny we Wiedniu jest bardzo zachmurzony. Izba posłów zbierze się w dniu pierwszego lipca, ale nie wiadomo, czy sesya potrwa dłużej, czy też skończy sie zaraz w pierwszych dniach lipca. Przedewszystkiem grozi Izbie rozbiciem obstrukcya Słoweńców, którzy żądają stanowczej obietnicy, że uniwersytet słoweński będzie utworzony. Ponieważ zaś Niemcy, ani rząd nie chcą się na to zgodzić, rozpoczną Niemcy obstrukcyę w komisyi budżetowej przy sposobności obrad nad włoskim fakultetem, a następnie w pełnej izbie. Bracia Rusini zgłaszają także *junctim* między uniwersytetem włoskim, a ukraińskim.

Sprawa kanałowa przyczyni się również do zaostrzenia sytuacyi. Polacy bowiem nie mogą się zgodzić, aby rząd zbył ich jakąś marną dotacyą, która i tak krajowi się należy. Największy kłopot będzie miał pan Bienerth z przeprowadzeniem swojego małego planu finansowego, polegającego na podwyższeniu podatku osobisto-dochodowego i od wódki. W izbie poselskiej, przygotowuje się obstrukcya socyalistów przeciw podatkowi wódczanemu, towarzysze oświadczają, że zgodzą się nań tylko pod tym warunkiem, jeśli rząd zaręczy, że sejmowa reforma wyborcza będzie dokonaną w duchu postępowym. W sprawie podwyższenia podatku osobisto-dochodowego wystąpią natomiast członkowie izby panów, którzy sprzeciwiają się wogóle nakładaniu podatków na klasy zamożne.

Horoskopy na przyszłość niewesołe, do tego dodać należy pośpiech, z jakim posłowie starać się będą ubić wszystkie sprawy, aby jak najprędzej wyjechać na wakacye. W jednem tylko nadzieja. Wysoki rząd posiada przecież bicz na posłów, a tym jest zamknięcie dyet, czego oni najbardziej się boją, wakacye bowiem bez monety dyabła warte. To też wszelkie stronnictwa na tym punkcie są bardzo drażliwe, być więc może, że parlamentarna burza skończy się bez piorunów i posłowie i ministrowie zadowoleni, że odpoczną po ciężkiej pracy, dopiąwszy swego, rozjadą się w ojczyste strony, aby tam opowiadać o zasługach, jakie mieli zamiar położyć dla dobra swych wyborców. Nie należy się jednak spodziewać, aby nasi posłowie skorzystali z wakacyj i złożyli publiczne sprawozdanie z swej dotychczasowej działalności. Jedni powiadają, że są zanadto skromni i nie chcieliby, aby ich chwalono, inni, a ci niestety mają racyę, twierdzą, że wolą cicho siedzieć, aby się nie narażać na zarzut, że za darmo biorą pieniądze.

Najlepiej zresztą scharakteryzowały naszych wybrańców pisma niemieckie, rozpisujące się szeroko i długo o sprawie kanałowej! Poseł Günther w *Tagblacie* twierdzi stanowczo, że wzburzenie w Kole polskiem szybko przeminie (jak oni nas znają!), a cała sprawa skończy się na uchwaleniu rezolucyi rządowej, to samo utrzymuje *Neue freie Presse*. Donosi ona, że wprawdzie rząd nie przystąpi do budowy kanałów i że z tego powodu panowała początkowo u Polaków skłonność nadania konfliktowi znaczenia politycznego, ale ruch ten został szybko stłumiony. Kto więc chce się dowiedzieć o baraniej uległości naszych posłów, ale potrzebuje tego słyszeć z ich własnych ust, zupełnie wystarczy, jeśli czytuje pilnie dzienniki, a dowie się o ich działalności i zasługach, streszczających się w dwu maksymach: nie narażania się rządowi i spokojnego pobierania dyet. Tak jednak było dawniej, tak samo bywa i obecnie, nikt więc temu dziwić się nie powinien.

Widzę, że i mnie opanował duch czasu, bo jak dotąd, kronika mogłaby nosić tytuł: choleryczno-kanałowa. Ze względu na zdrowie P. T. czytającej Publiczności, wyrwę ją z tej dusznej atmosfery, a wywiodę w nasze miejsca klimatyczne i kąpielowe, które, jak zapewniają, cieszą się w bieżącym sezonie zwiększoną frekwencyą. Przyczyniła się do tego okoliczność, że wiele osób urządziło się w ten sposób z wyjazdem, aby módz skończyć kuracyę przed rozpoczęciem uroczystości grunwaldzkich, po których udadzą się już w zacisze domowego ogniska. Miejsce ich zajmie potem druga serya, która do czasu obchodu pozostaje w domu. Pogoda dość nam dopisuje, dopiero św. Jan Chrzciciel, patron fabrykantów wina, rozczulił się nieco i już spodziewaliśmy się trwałego rozdeszczenia się, zdaje się jednak, że wzruszyła Świętego wiadomość, że Wisła i Rudawa jeszcze nie uregulowane, więc powódź mogłaby się Krakowowi dać we znaki. Antigrunwaldczycy utrzymują stale, że deszcz jest koniecznie potrzebny, ochłodzi bowiem zapały, inni sądzą, że obejdzie się bez niego, gdyż zaczynają się żniwa, które tego roku zapowiadają się wspaniale.

Powinniśmy się z tego cieszyć, następstwem bowiem udania się żniw powinno być potanienie wszelkich środków spożywczych, właściwie jednak rzecz ma się inaczej. Czy zbiory wypadną pomyślnie, czy nie, ceny mięsa i pieczywa pozostaną niezmienione, owszem od czasu do czasu będą się podnosić, powoli, jednak systematycznie.

Nasi panowie piekarze i rzeźnicy są klasą ludzi uprzywilejowanych. Po cichu narzekamy na nich, nikt się jednak nie znajdzie, ktoby wystąpił odważnie i zachęcił społeczeństwo do walki z wyzyskiem. Wszyscy im idą na rękę, aby przypadkiem kieszeń ich nie ucierpiała, jakto mieliśmy sposobność przekonać się z okazyi wprowadzenia mięsa rumuńskiego do Krakowa i Lwowa, co wpłynęłoby regulująco na ceny, lub też z poszczególnych starań o o zniesienie cła ochronnego na zagraniczne zboże. Agraryusze wystąpili w obronie swych interesów, za nimi poszli ich sprzymierzeńcy. Możemy długo czekać, nim chleb i mięso potanieją, posłowie z miast, czy nie chcą, czy też nie potrafią ująć się za nami i zdają nas na łaskę i niełaskę agraryuszów i tych, którzy z nimi trzymają, widząc w tem swój interes.

Wobec takich stosunków nic też dziwnego, że narodek jest zrozpaczony i szuka najróżnorodniejszych środków, aby sobie dopomódz w ciężkiej doli. Zdawało się, że znakomitą sposobność nastręczą wyścigi z nieodzownym totalizatorem i nawet dwoma bookmacherami, nadzieje zawiodły jednak, gdyż większa część totalizatorowiczów wróciła do miasta gruntownie spłukana. Corocznie dzieje się tak samo, każdy jednak pociesza się myślą: Mój Boże! Tego roku się nie udało, może przecież lepiej będzie w przyszłym! Trzeba przecież podać rękę szczęściu, skoro ono samo do mnie przyjść nie chce! — Ale niestety, mimo podania ręki, szczęście i tak odwraca się, a na naszej łatwowierności wychodzą najlepiej przedsiębiorcy totalizatora, którzy robią doskonałe interesy. Żeby to chociaż były pieniądze własne, jakie człowiek tam traci! Niestety, po większej części są one pożyczone od jakiegoś przyjaciela mojżeszowego wyznania, który nie zapomni na pierwszego przypomnieć się łaskawej pamięci pana dobrodzieja...

Cieszmy się jednak! Choć wyścigi nie dopisały, troskliwy magistrat rozpoczął rozkopywanie miasta i spodziewa się, że na obchód grunwaldzki upiększy w ten sposób rynek, a co najważniejsze znajdzie może pokłady złota, tak jak Anglicy w Kolumbii. Kto wie, czy nadzieje się nie ziszczą, rozkopano nam Rynek w okolicy Sukiennic, a jak powiada podanie ludowe, są tam w okolicy gdzieś niedaleko obfite zapasy złota, nad którego zebraniem pracowały całe wieki. Rozkopany Rynek i ulice będą nadawać miastu cechę starożytności, ową tak wielbioną przez archeologów „patynę“ i obchód, choć bez pomnika i mszy polowej, wypadnie pod każdym względem wspaniale. .r

Tragedya awiatora.

Coraz nowe ofiary porywa rozwijająca się awiatyka, a naturalnym porządkiem, rzeczy ofiarami temi stają się najdzielniejsi, najodważniejsi pionierowie postępu, którzy bez względu na ogromne trudności, podejmują się bardzo ciężkich zadań, aby przyczynić się do ostatecznego rozwiązania kwestyi lotnictwa.



Tragedya awiatora: Tadeusz Robl.

Ostatnią ofiarą awiatyki jest Tadeusz Robl, głośny do niedawna cyklista i zwycięsca w wielu wyścigach kolarskich. Dzielny ten sportowiec poświęcił się w ostatnich czasach awiatyce i miał wziąć udział w konkursie lotniczym, urządzonym niedawno pod Szczecinem.

Już w pierwszym dniu zgromadziła się na polach wzlotu pod Szczecinem nadzwyczaj licznie publiczność, żądna sensacyjnego widowiska. Z powodu jednak niepomyślnych warunków atmosferycznych, w szczególności bardzo silnego wichru, awiatorowie zwlekali z rozpoczęciem wzlotów, czekając na pomyślniejsze warunki. Wobec jednak zniecierpliwienia publiczności, która dawała w bardzo dosadny sposób wyraz swemu niezadowoleniu, postanowił Robl wznieść się na swym aeroplanie systemu Farmana, t. j. dwupłaszczyznowym. Wzlot udał się wspaniale, Robl wzbił się na wysokość przeszło 100 metrów i okrążył kilkakrotnie pole wzlotów. Dopiero przy spuszczaniu się spotkała go katastrofa. Zdaje się, że motor uległ jakiemuś wypadkowi i przestał funkcyonować, gdyż nagle aeroplan przewrócił się i z wysokości około 39 metrów spadł z ogromną szybkością na ziemię.

Wśród publiczności zapanowało przerażenie, rzucono się tłumnie ku nieszczęsnemu awiatorowi, który leżał pod motorem i szczątkami pogruchotanego aeroplanu.

Ratunek jednak okazał się bezcelowy. Robl odniósł wskutek gwałtownego upadku tak silne uszkodzenia zewnętrzne i wewnętrzne, że w parę minut później wyzionął ducha.

Oczywista rzecz, że wobec tak tragicznego wypadku dalsze wzloty, na dzień ten zapowiedziane, odwołano.

Sejm bośniacki otwarty został wnet po odjeździe cesarza z Bośni, w dniu 15 czerwca rano. Pierwsze posiedzenie odbyło się w sali ratuszowej w Serajewie, przy udziale wszystkich posłów z wyboru i wirylistów. Także galerye były przepełnione. Rząd reprezentował generał Vareszanin oraz szefowie sekcyi.

Posiedzenie otworzył dłuższą przemową prezydent kraju, generał Vareszanin, poczem odbyło się zaprzysiężenie mianowanego przez cesarza prezydyum. Z powodu choroby prezydenta Firdusa, przewodnictwo objął jeden z wiceprezydentów, Sola i odebrał na wstępie ślubowanie poselskie od wszystkich posłów.



Tragedya awiatora: Aeroplan Robla, systemu Farmana, strzaskany na polach pod Szczecinem.

Sejm bośniacki.

(Do illustracyi na str. 9.)

Najmłodszy w obrębie monarchii austryacko-węgierskiej sejm, sejm Bośni i Hercegowiny, obdarzonych niedawno konstytucyą, obraduje od paru tygodni nad sprawami powierzonych sobie krajów.

Dalszy ciąg uroczystego posiedzenia urozmaiciło odczytanie licznych depesz powitalnych od wszystkich słowiańskich klubów parlamentarnych.

Sejm bośniacki, mimo swej młodości, okazał się politycznie zupełnie dojrzałym, a obrady toczą się w nim zupełnie spokojnie.



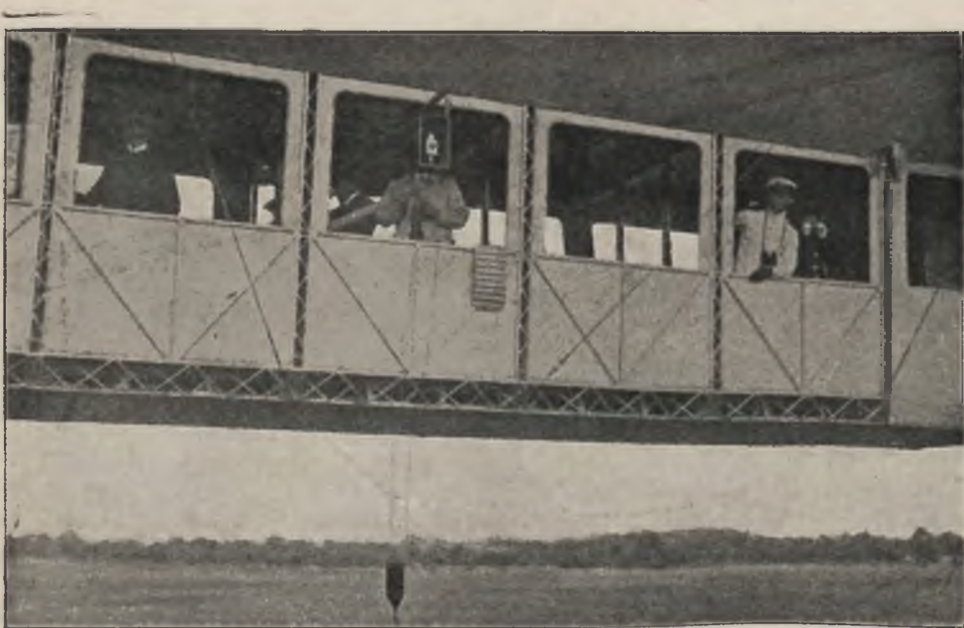
Pożegnanie cenionego oficera: Major Alojzy Wilhelm w otoczeniu grona inteligencyi Zaleszczyk.

Zmiana ministrów pruskich.

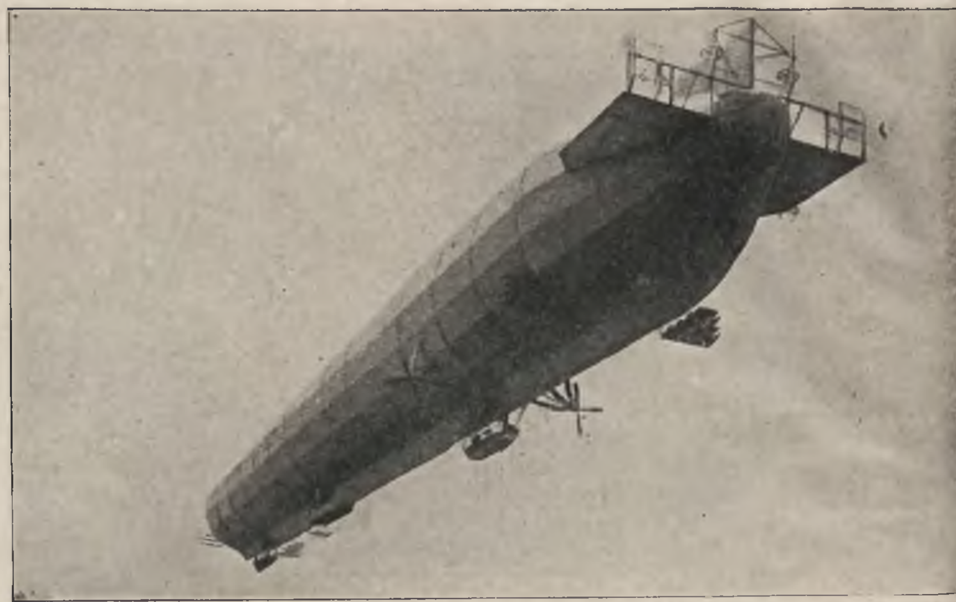
W gabinecie ministeryalnym pruskim nastąpiła w ostatnich dniach częściowa „wymiana mózgów“. Ustąpili mianowicie dwaj ministrowie: spraw wewnętrznych Moltke i rolnictwa Arnim. Ani jeden ani drugi nie pozostawia po sobie zbyt dobrej pamięci, gdyż obaj okazali się jako ministrowie siłami słabemi. Minister Moltke wykopał sobie grób polityczny osławionym projektem reformy ordynacyi wyborczej do sejmu pruskiego.

W miejsce Moltkego zamianowany został ministrem spraw wewnętrznych naczelny prezydent Śląska Dallwitz, osobisty przyjaciel kanclerza Bethmana-Hollwega, człowiek podobno bardzo utalentowany i dość liberalnych poglądów.

Następcą Arnima został naczelny prezydent Nadrenii, dr. bar. Schorlemer, syn głośnego ongi przywódcy katolickiego centrum, sam jednak zacięty wróg tego stronnictwa, reakcyonista, namiętny wróg Polaków. Z tego powodu też fatalne stosunki między centrum a kanclerzem nie ulegną z pewnością zmianie na lepsze.



Tryumf aeronautyki: Gondola balonu L. Z. VII przeznaczona dla podróżnych.



Tryumf aeronautyki: Ogólny widok balonu L. Z. VII



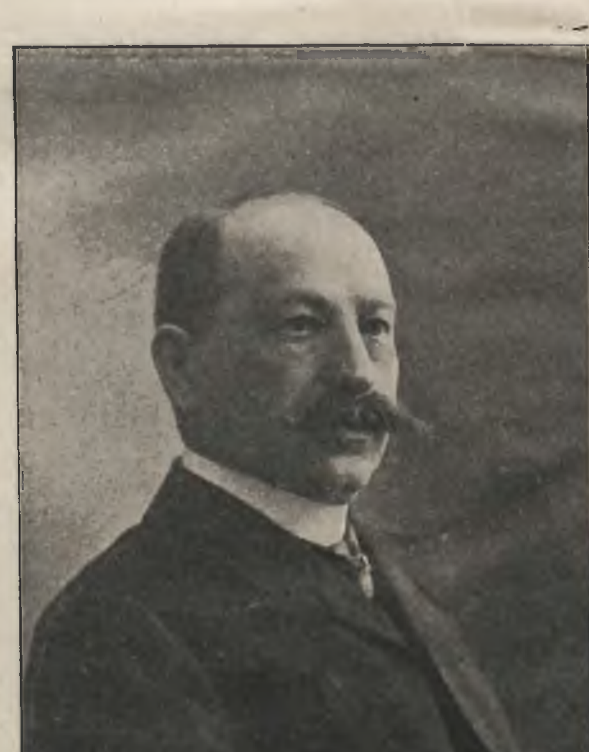
Fot. F. Russ, Borysław.

Studenci krakowscy w Borysławiu: Słuchacze studyum rolniczego z profesorem dr. Szajnochą (X) pod wieżą jednej z kopalń borysławskich

Tryumf aeronautyki.

Nareszcie doczekaliśmy się pierwszego statku napowietrznego, przeznaczonego do przewożenia pasażerów. Odtąd szybowanie w przestworzach nie będzie już przywilejem śmiałych aeronautów, każdy filister, który może sobie pozwolić na wydanie dwustu marek, gdyż tyle wynosi cena biletu za jazdę dwugodzinną, będzie mógł z góry patrzeć na świat i jego powaby.

L. Z. VII. odbył w ubiegłym tygodniu pierwszą jazdę pasażerską pomiędzy Wilhelmshafen a Düsseldorfem. Wynik był wprost świetny. Wszystkie najnowsze zdobycze w dziedzinie aeronautyki zastosowano przy nowym balonie, zbudowanym przez akc. Towarzystwo żeglugi powietrznej, wedle systemu sztywnego Zeppelina. Pojemność jego wynosi około 20.000 metrów sześciennych, a pod spodem znajdują się dwie gondole, jedna przeznaczona dla załogi, druga oszklona, dla dwudziestu podróżnych. Podzielono ją na dwie części, wyłożone wewnątrz mahoniem i urządzone nader elegancko. Przy oknach stoją wyplatane fotele trzcinowe, obok znajduje się bufet, obsługiwany przez kelnera, który ma za zadanie czuwać w czasie podróży, by nikomu na niczem nie zbywało. Uzupełnia urządzenie toaleta.



Jubileusz pedagoga: Dyrektor Salomon Spitzer.

Odtąd urządzane będą regularne jazdy pasażerskie, pomnożoną też zostanie liczba balonów, co wpłynie ujemnie na frekwencyę na kolejach żelaznych. Cena jazdy, wynosząca dwieście marek za dwie godziny, jest wprawdzie wygórowaną, mimo to zgłosiło się tylu amatorów i amatorek podniecającej podróży, że miejsca na kilka tygodni naprzód są wysprzedane, a szczęśliwi posiadacze biletów modlą

się tylko, by przypadkiem Zeppelinowi nie urwała się znowu śruba, coby na dłuższy czas uniemożliwiło ruch pasażerski.

Według zapewnień jednego z podróżnych, który wziął udział w jeździe próbnej między Wilhelmshafen a Düsseldorfem, pobyt w przestworzach jest nader przyjemny, działa jednak na nerwy, ma więc zapewnione powodzenie.

Studenci krakowscy w Borysławiu.

Jedyny wyższy zakład naukowo-rolniczy w zachodniej Galicyi, studyum rolnicze na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, spełnia w tej cześci kraju doniosłą misyę, kształcąc i przygotowując do przyszłego zawodu młodzież, pragnącą poświęcić się pracy na roli. A że Galicya, to kraj przedewszystkiem rolniczy, gdzie jednak rolnictwo dotąd na niskim niestety znajduje się poziomie, znacznie niższym, niż w sąsiednich krajach zachodnich, więc i zadanie galicyjskich szkół rolniczych, zarówno niższych jak wyższych, jest trudne, ciężkie ale bardzo szczytne. W ręku bowiem młodego pokolenia agronomów leży przyszłość i rozwój kraju, od ich wykształcenia i przygotowania zawisło w znacznej mierze odrodzenie ekonomiczne kraju.

Studyum rolnicze na Uniwersytecie krakowskim spełnia dzielnie swoje zadania. Corocznie opuszcza zakład szereg agronomów, gruntownie do pięknego zawodu przygotowanych i pod okiem znakomitych profesorów wykształconych.

Uzupełnienie teoretycznych studyów stanowią liczne i częste wycieczki słuchaczów studyum pod kierownictwem profesorów do większych zakładów rolniczo przemysłowych, wzorowych folwarków itd.

Jedną z takich wycieczek naukowych urządzili niedawno słuchacze studyum rolniczego pod przewodnictwem prof. dra Szajnochy do Borysławia, celem zapoznania się z obecnym stanem przemysłu naftowego w Galicyi, przemysłu, który dziś tak wielkie ma w kraju naszym znaczenie i w tak ścisłym do rolnictwa znajduje się stosunku.

Grupę uczestników wycieczki wraz z profesorem dr. Szajnochą przedstawia nasza rycina.

Jubileusz pedagoga.

Stulecie istnienia szkoły imienia króla Kazimierza na Wolnicy w Krakowie zeszło się z jubileuszem trzydziestoletniej działalności nauczycielskiej jej obecnego kierownika, p. Salomona Spitzera.

Do zawodu nauczycielskiego przystąpił p. Spitzer po gruntownych studyach, uzupełnionych kursem w akademii handlowej we Lwowie oraz na wydziale filozoficznym uniwersytetu krakowskiego, na którym złożył egzamin profesorski z pedagogii i filozofii. Owocem studyów z zakresu filozofii jest praca p. Spitzera p. t. „Filozofia Majmonidesa“. Także w zakresie pedagogii i dydaktyki ogłosił p. Spitzer kilka monografii; ostatniem jego dziełkiem jest broszura o „Kazimierzu Wielkim“, napisana w 600 tną rocznicę urodzin „króla chłopków“. We wszystkich



Operetka lwowska: Amalia Kasprowiczowa.

swych pracach występuje silne dążenie autora do unarodowienia żydów w duchu polskim.

Z działalności obywatelskiej podnieść należy jego pełną poświęcenia pracę w instytucyach humanitarnych a mianowicie w bezpłatnej kuchni dla dzieci szkolnych bez różnicy wyznania, w towarzystwie wsparcia biednych uczniów, w leczniczej kolonii wakacyjnej dla izraelickiej dziatwy i bursie dla uczniów żydowskich.

Duże są przedewszystkiem zasługi p. Spitzera jako kierownika szkoły imienia króla Kazimierza. Dziś szkoła ta należy do wzorowych w Krakowie, to też frekwencya wzrasta w niej z każdym rokiem. Młodzież, uczęszczająca do tej szkoły, otrzymuje wychowanie w duchu szczerze narodowym.

Dyrektor Spitzer cieszy się zarówno u grona nauczycielskiego jak u przełożonych sympatyą i uznaniem, na które swą działalnością w zupełności zasłużył.

Kongres słowiański w Sofii.

(Do illustracyi na str. 4).

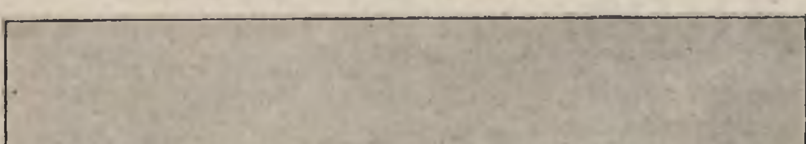
Dużo hałasu wywołała w prasie słowiańskiej sprawa kongresu wszechsłowiańskiego, zapowiedzianego na najbliższe dni do Sofii, stolicy Bułgaryi. Kongres ten, mimo nazwy „wszechsłowiański“, nie będzie nim w pełnem tego słowa znaczeniu, nie wszystkie bowiem ludy słowiańskie delegatów nań wyślą. Przedewszystkiem wstrzymają się od udziału Polacy.

Komitet organizacyjny spodziewa się zupełnego powodzenia, ponieważ program obejmuje tylko sprawy kulturalne i gospodarcze, z wykluczeniem spraw politycznych. Ma on być niejako dalszym ciągiem zjazdu praskiego z r. 1908 i działać będzie zgodnie z wypracowanym w Petersburgu przez komitet wykonawczy programem. Kongres ten nie ma być demonstracyą przeciw komukolwiek, lecz zwyczajnym pokojowym, przyzwoitym zjazdem. Zdaniem tego komitetu Polacy nie powinni się byli wstrzymać od udziału w kongresie, gdyż właśnie to mogłoby być najlepszą drogą do porozumienia się z Rosyą.

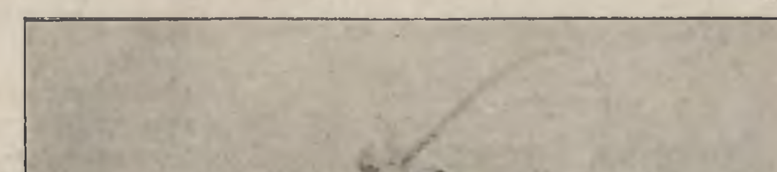
Sofia przygotowuje się na przyjęcie uczestników kongresu bardzo uroczyście. Całe miasto będzie udekorowane flagami i chorągwiami, zapowiedziano też sporo przyjęć i bankietów. Zabawa więc zapowiada się wcale wesoło, a uczestników będzie pewnie sporo, zwłaszcza że rząd bułgarski przyznał wszystkim członkom kongresu prawo bezpłatnego przejazdu na liniach kolejowych w Bułgaryi.

Dworzec w wychodku.

Żart to, czy prawda? A więc prawda, najoczywistsza prawda, a możliwa chyba w Galicyi, pod czułą opieką sprzyjającego krajowi rządu. Unikat tego rodzaju znajduje się na przystanku „Sadzawka“ linii kolejowej Kołomyja-Delatyn. Na przystanku tym prócz miejsca ustępowego i słupa z napisem nazwy stacyi, zgoła nic niema. Każdy więc pociąg staje tuż przed wychodkiem, jako dworcem kolejo-



Dworzec w wychodku: Jedyna ubikacya przystanku kolejowego „Sadzawka“ na linii Kołomyja-Delatyn.



Operetka lwowska: Helena Miłowska.

wym i wszyscy pasażerowie, tą linią podróżujący, muszą mimowoli oglądać tę anomalię XX. wieku.

Co gorsza, linia ta prowadzi wprost na Węgry i agenci tamtejszych fabryk, licznie od czasu bojkotowania towarów pruskich odwiedzający Galicyę, mają sposobność zaraz na wstępie do kraju zapo-



Operetka lwowska: Filip Kuligowski.

znać się z jego kulturą. Oczywista rzecz, że u obcych budzi widok ten serdeczną wesołość i wiele dowcipów na temat austryako-galicyjskiej gospodarki, dla nas jest to jednak rzecz przykra i smutna.

Linia wspomniana istnieje z górą 13 lat, było więc chyba dość czasu na postawienie najskromniejszego bodaj poddasza, gdzieby biedni pasażerowie w razie niepogody mogli się skryć. Za niesłychanie wysokie opłaty, jakie koleje obecnie pobierają, należy się to przecież podróżnym.

Sprawą skandalicznego urządzenia przystanku „Sadzawka“ powinnni się zająć posłowie do parlamentu.

Operetka lwowska.

Publiczność krakowska, która tęskniła przez rok prawie cały za dobrą muzyką, używa jej obecnie do syta. Od połowy czerwca bawi bowiem w Krakowie lwowska trupa operowa i operetkowa, a przedstawienia jej w teatrze miejskim cieszą się ogromnem, jak corocznie zresztą, powodzeniem.

W składzie personalu operetkowego nie duże zaszły zmiany od ostatniego jej pobytu w Krakowie. Prym dzierżą, jak poprzednio, znakomite artystki pp. Kasprowiczowa, Kliszewska, Miłowska a dalej wyrabiające się na doskonałe siły pp. Brzeska i Markowska.

P. Kasprowiczowa, zawsze pełna temperamentu i humoru, należy bezsprzecznie do ulubienic publiczności i to wyjątkowych; i zupełnie słusznie, gdyż jest to artystka wyjątkowym obdarzona talentem i pięknym bardzo głosem, którego świeżość i nadzwyczajny dźwięk wszystkich w podziw wprowadza.

To samo powiedzieć należy o p. Kliszewskiej, która w swych rolach jest dotąd bez konkurencyi, wlewając w nie cały czar kobiecego wdzięku i uroku.

Primadonną operetki jest dalej p. Miłowska, której wyjątkowe warunki zewnętrzne współzawodniczą z bardzo pięknym głosem i składają się wspólnie na całość nadzwyczaj sympatyczną.

Udało się też dyrekcyi lwowskiego teatru zapełnić dotkliwą lukę w personalu męskim operetki przez pozyskanie doskonałego tenora, p. Filipa Kuligowskiego, śpiewaka o bardzo miłym i donośnym głosie i aktora inteligentnego, wybitnie utalentowanego. Dotychczasowe występy p. Kuligowskiego zjednały mu i sympatyę i uznanie zarówno krytyki jak publiczności.



Irena Bohusz-Helerowa

Sezon więc zapowiada się bardzo pięknie, zwłaszcza że repertuar tegoroczny przyniesie szereg nowości z zakresu lekkiej muzyki. Dotychczas poznała publiczność krakowska tylko najsłabszą nowość, „Barona Trencka“, wznowienie bowiem „Nietoperza“, jako wystawionego siłami operowemi, tu właściwie nie należy. Ale pójdą inne, prawdziwie dobre rzeczy, jak „Hrabia Luksemburg“ i „Walc miłości“, operetki, które wszędzie, gdzie były wystawiane, podobały się nadzwyczajnie.

W bieżącym tygodniu zjeżdża do Krakowa n kilka gościnnych występów, znakomita śpiewaczk operowa p. Bohus Hellerowa — melomani krakowscy będą mieć zatem nielada biesiadę.



Operetka lwowska: Józef Solnicki.

P. Bohus Hellerowa wystąpi po raz pierwszy w swej popisowej partyi Elzy w „Lohengrinie“.

Kącik humorystyczny.

Nasi najserdeczniejsi.

Pan Rosenduft prowadzi proces z panem Lilienmilchem. Ale sprawa pana Rosendufta stoi jakoś źle, udaje on się do swojego adwokata i zapytuje go, czy nie byłoby dobrze, gdyby sędziemu, który prowadzi rozprawę, posłać tuczoną gęś.

— Ależ panie! Czyś pan zwaryował? — woła adwokat. — I tak pańska sprawa jest bardzo wątpliwa, tem dobiłbyś się zupełnie...

Nadszedł termin, sprawa poszła dla Rosendufta pomyślnie.

— No! Widzisz pan! Przecież mówiłem, że i bez gęsi wygrasz pan, jeśli słuszność jest po twej stronie! — robi adwokat uwagę. — Gdybyś ją był posłał, byłbyś popsuł całą sprawę!

— Nu! panie doktor! — powiada Rosenduft — ja jemu przecież posłałem tę gęsz!

— Co pan powiada?!

— Tak! Ale ja dołączyłem bilet od Lilienmilcha!..

Rozwiązanie zagadek z Nr. 25.

Logogryf:

W a t y k a n
O l i m p i a
J a n c z a r
C y c e r o n
I l i j a d a
E s t o n i a
C y k l o p i
H e l e n k a
B o l o n i a
O r f e n s z
G o r g o n a
U k e r e w e
S y c y l i a
Ł o s o s i e
A s s y r y a
W o r s k l a
S y b i l l a
K a s k a d a
I r y d y o n

Szarada: Ukraina.

Kwadrat magiczny:

P a s t o r a ł
W a r s z a w a
P a t a c a k o
K o c h l i w y
P a t h e f o n
G r a m o f o n
K o p r o f o r

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Bobrzyński Warszawa, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, K. Łopatkiewicz Lwów, S Kalinowski Woroneż, S. Lindenbaum Jasło, M. Ohrenstein Stanisławów. W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Kołomyja, K. Balicki Tarnopol, J. Czarkowski Jasło, K. Armatys Sanok, H. Pick Warszawa, B. Liskowacki Lwów, J. Ciesielski Kraków, A. Trzeciak Kraków, F. Boczarski Kraków, L. Sanocki Jasło, A. Pankowski Kraków, W. Cieplik Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, M. Lemiszewska Janów, K. Fraszkowski Rzeszów, M. Krawecka Bochnia, K. Kukurudza Sambor, J. Kratochwil Jaworów, H. Dręgiewicz Podwołoczyska, J. Piątek Złoczów, M. Gawrońska Stanisławów, H. Weitman Radomyśl, M. Krell Złoczów. H. Gryziecka Brody, M. Radomska Sandomierz, W. Ostrowski Łódź, J. Świrski Piotrków, M. Zychoń Staszów, R. Schmidt Radom, H Bandrowski Kraków, J. Kwaśniewski Przemyśl, M. Sciborowska Jasło, H. Zenowicz Lwów. T. Ogiński Radomyśl, M. Radzińska Jordanów, J. Obraczaj Cieszyn, H. Jahoda Cieszyn. S. Rozwadowski Kraków, W. Mazaraki Kraków, M. Firla Kauczuga, K. Sapecki Jodłów, Z Kamocki Radziwiłłów, J. Lesiński Kraków, M. Lasocińska Rzesów, J. Cichocki Lwów, M. Lewicka Sanok. Z. Lichański Jasło, K Orosz Warszawa, H Abt Płock, W. Thnn Jasło, K. Wierzejski Kraków, J. Jawornicki Kraków, M Korczyńska Rzeszów, W. Sołtysik Kamieniec, H. Krusilnicka Kraków, W. Potocka Lwów, A. Lech Stanisławów, C Szymanowska Warszawa, B. Ciszewski Lwów, J. Tuch Solec, H Braniowski Częstochowa, A. Ścibora Kraków, M. Skalska Sandomierz, H. Kowalska Warszawa, J. Knapik Piotrków, K. Stec Busk, S. Kowalówka Kraków. K. Kaim Kraków, M. Sulima Skawina, M. Zabierzewska Kraków, J. Badura Rożdzień, K. Fuchs Czeremchów, J. Szpak Kraków, K. Kucharski Kraków, T. Cholewicz Kraków, W. Krupski Zborów, W. Budzianowska Matyjowce, E. Bogdalska Koropuż, A. Malec Kraków, J. Menczak Radymno, K. Jurajdowa Gliniany.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **H. Gryziecka, Brody.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

11

Tymczasem Maksym Duret już się zdecydował.

— Dobrze — rzekł. — Jutro będzie pan miał swe dwanaście tysięcy...

— Doskonale! — odrzekł zadowolony złodziej.— Niech mi pan wierzy, że nigdy nie można skąpić... Nic nie kosztuje tak drogo... jak skąpstwo. Zarumieniłbym się, gdybym musiał dać skromny napiwek kelnerowi, który mi usługuje w kawiarni... Zgodziłbym się już nawet okraść go, byle tylko zostawić mu odpowiednią kwotę... Teraz — mówił dalej, zmieniając ton — inna rzecz... Karol Turner nie zna jeszcze wielkiego świata paryskiego... Kogo ma on wziąć za świadków?

— Jest to dość trudne...

— Wcale nie. Czyż nie mam pana?

— Tak... Ja jednak nie mogę panu służyć z dwóch względów... Po pierwsze, jestem w przyjacielskich stosunkach z młodym Cartelegue'iem i jego rodziną...

— Po drugie — rzekł Panajon — poważny filantrop, Maksym Duret, kandydat do akademii nauk moralnych i politycznych, śmiesznie wyglądałby na polu walki przy pojedynku, który wynikł z powodu dysputy o kobietę przy stole gry...

— Istotnie, tak!

— Nie myślałem też wcale pana prosić na świadka... Liczę tylko na pana, jako na człowieka ustosunkowanego, który pozna mnie z dwoma gentlemenami dobrze urodzonymi, dobrze wychowanymi, dobrze widzianymi, jednem słowem z dwoma odpowiednimi świadkami dla Karola Turnera.

— To co innego.

— To zupełnie co innego... Węzły przyjaźni, które pana łączą z Cartelegue'ami, nie przeszkadzają panu oddać mi tej przysługi.. Nie może mi nawet pan jej odmówić... Jeżeli jest pan w doskonałych stosunkach z wielkim fabrykantem samochodów, nie w gorszych pan jest i z wielkim przemysłowcem z Melbourne, który tylko do pana może się z tem zwrócić...

— Dobrze! — przerwał Maksym Duret. — Będzie pan miał swych świadków!

— Doskonale! Ludzie zupełnie *comme il faut!*

— Zupełnie.

— Kiedy i gdzie ich zobaczę?

— Przyprowadzę ich panu jutro na ulicę Boissy d'Anglas. Poproszę ich o to jeszcze dziś wieczorem.

— Jest już dość późno.

— Nic nie szkodzi... Byli oni, a zapewne muszą jeszcze być na przyjęciu u mej siostrzenicy... Powrócę tam...

— A kto są ci panowie?

— Markiz de Baudricourt i młody Garrigue.

— Znam ich z nazwiska... Markiz jest jak i pan członkiem całej masy rad zarządzających... Garrigue posiada olbrzymią fortunę zdobytą przez jego zmarłego ojca na fabrykowaniu pigułek przeciw niestrawności...

— Tak, to oni.

Samochód wjechał na dziedziniec Tuileries - Palace i zatrzymał się przed podjazdem.

— Każę się odwieźć na ulicę Ampere — rzekł Maksym Duret.

— Proszę bardzo — rzekł uprzejmie Panajon.— Samochód mój jest zawsze do twej dyspozycyi, drogi przyjacielu!

Maksym Duret powstrzymał się od nerwowego ruchu. Już kilka razy podczas przyjęcia u pani de Lagunan, złodziej i filantrop odzywali się do siebie „drogi przyjacielu“. Czyniąc to jednak, odgrywali rolę dla otoczenia. Prezes spodziewał się jednak, że na osobności, każdy zachowa się odpowiednio do swego położenia. Panajon pamiętał do tej pory o tem i teraz po raz pierwszy dopiero pozwolił sobie na tę poufałość.

Służący w liberyi zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki. Panajon wysiadł.

— Dobra noc, drogi! — pożegnał Maksyma Dureta, czyniąc w powietrzu przyjacielski gest ręką.

Prezes jeszcze wynioślejszym tonem, niż zazwyczaj, by zaznaczyć różnicę między nimi, a o jakiej zapominał jego wspólnik, polecił mu:

— A proszę nie zapominać o śledzeniu, o jakiem panu mówiłem!

I zagłębił się w samochodzie, nie mówiąc ani jednego słowa pożegnania. Służący zamknął drzwiczki.

— Proszę odwieźć pana tam, gdzieśmy byli — rzekł Panajon do szofera.

I popatrzył z niezadowoloną miną na samochód, który odjeżdżał w stronę ulicy Rivoli. Bolał go bardzo sposób, w jaki Maksym Duret przyjął jego zbyt przyjacielskie słowa.

„Już po raz drugi tego wieczoru mówi do mnie tak, jakby król nie powiedział do chłopa — szepnął do siebie. — Ordynarny, gbur, bałwan! Sapristi! gdy kto urządza takie podłe intrygi jak ty, ten nie przybiera dumnych min wobec tego, kto je zna!...

Panajon wiedział doskonale, dlaczego Maksym Duret chce skompromitować Ludwikę Dubois. Prezes nie wyjawił mu tego i chciał kierować swym wspólnikiem, jak pajacem, którego pociąga się za sznurek. Złodziej jednak domyślił się łatwo wszystkiego i postanowił przerwać w połowie swą niegodną rolę fałszywego uwodziciela.

„Poczekajmy jeszcze, dopóki ta stara kanalia nie skompromituje się zupełnie, przedstawiając mnie całemu Paryżowi — myślał. — Dzięki temu i fałszowaniu listów Karola Turnera, będę cię trzymał w rękach i kręcił jak starym dudkiem...“

Perspektywa pognębienia Maksyma Dureta rozweseliła Panajona, u którego zresztą zły humor nie trwał nigdy długo i ustępował wkrótce miejsca wrodzonej mu wesołości. Mrucząc jakąś melodyę wstępował z cylindrem na bakier na schody Tuileries Palace i udał się do swego apartamentu. Towarzyszył mu Tetard.

— Spiesz się, ciuro! — rzekł wesoło złodziej.— Rozbieraj mnie prędzej!

Rzucił na stół kapelusz, laskę, rękawiczki, poczem siadł we fotelu, wyciągając nogi do swego nowokreowanego służącego, by zdjął mu trzewiki.

— Musimy jutro przed południem zainstalować się na ulicy Boissy d'Anglais... Tam jutro będę oczekiwał na swych świadków...

— Świadków!... Żenisz się?... — zapytał herkules bez wielkiego zresztą zdziwienia, gdyż po Panajonie mógł się spodziewać wszystkiego.

— Nie, biję się.

— Z kim?

— Z młodym Cartelegue'iem.

— Królem stu dwudziestu koni?

— Tak.

— Do dyabła! Masz niezwykłego przeciwnika.

— I pojedynek będzie niezwykły... z reporterami, fotografami, z premierową publicznością... A propos! Załatwisz mi pewną drobnostkę!

Panajon wyjął z oszklonej szafy małą skórzaną torebkę, jakiej często używają chirurdzy do chowania swych przyrządów. Był to jednak futerał z narzędziami złodziejskiemi, z którego dobył mały wytrych. Potem otworzył walizkę i wydostał z niej małą latarkę.

— Weź to — rzekł, podając oba przedmioty Petardowi.

— Wytrych... Latarka... — zdziwił się herkules. — Wysyłasz mnie na kradzież?

— Wcale nie... Słuchaj uważnie... Zaraz ci wszystko wytłómaczę.

Tetard, który nie lubiał stać, wyciągnął się zaraz na fotelu.

— Nie śpij... — rzekł Panajon, wiedząc z kim ma do czynienia.

— Nie bój się, nadstawiłem uszy — zapewniał służący. — O co chodzi?

Podczas gdy fałszywy Australczyk dawał wyjaśnienia herkulesowi, Maksym Duret jechał przez bulwar Malesherbes. Opuścił w samochodzie okna, by orzeźwić się świerzem powietrzem i rozmyślał:

— Zdaje mi się, że się z tego wywikłamy. Piotr jest przekonany, że ma do czynienia z prawdziwym Karolem Turnerem... Najlepszym tego dowodem jest ten policzek... Również i Maixent winien być tego zdania... Po rozmowie jednak z tym mniemanym Melburnczykiem miał jakąś dziwną minę... Nie mogę być jeszcze zupełnie spokojnym...

Samochód skręcił na lewo w ulicę Ampere. Na zakręcie Maksym Duret ujrzał postać mężczyzny, który z jednego chodnika przechodził na drugi. Był to Lewis Jackson, który wyszedł już od państwa de Lagunan i wracał pieszo do domu. Szofer nacisnął trąbkę, lecz Lewis nie wiedząc na którą stronę się cofnąć, na chwilę przystanął, lecz zaraz postąpił dwa kroki w tył, by wyminąć samochód, który zakręcał w prawo. Maksym Duret zerwał się z siedzenia i wychylił naprzód.

— Proszę uważać! — krzyknął na szofera.

Jednocześnie jednak schwycił go tak silnie za rękę, iż kierownik zwrócił się na lewo. Wskutek tego samochód zmienił naraz kierunek i najechał na Lewisa Jacksona.

— Do stu tysięcy! — zaklął szofer.

Amerykanin leżał na chodniku.

— Dlaczego pan mnie złapał za rękę? — wołał szofer, zwracając się do Maksyma Dureta.

— Bo pan najechałby na niego!

— Nie najechałbym, gdyby pan siedział spokojnie!

Samochód stanął i przestraszony filantrop podbiegł zaraz do leżącego bez czucia Jacksona.

* * *

— Raz!... Dwa!... Trzy!...

Godzina jedenasta rano. Obydwaj przeciwnicy w czarnych strojach, nieruchomi, wyprostowani, stali naprzeciw siebie na trawniku w welodromie. Rozdzielała ich przestrzeń trzydziestu pięciu kroków. Prawe ich ręce podniosły się jednocześnie i oba pistolety wypaliły. Po podwójnym strzale nastąpiła chwila milczenia, wszyscy pozostali bez ruchu, tak iż zdawać się mogło, iż pojedynkujący, świadkowie, lekarze i ciekawi zapadli nagle w jakiś kataleptyczny sen... Razem jednak z obłokami dymu rozwiązało się i to osłupienie i wszyscy pośpieszyli do walczących, którzy opuścili już wyciągnięte ręce.

— Nie trafili!

Zdanie to powtarzane z ust do ust przedostało się zaraz i za welodrom, za którym stały panie, urzędnicy z welodromu i z kinematografów, reporterzy pism ilustrowanych z nastawionemi aparatami fotograficznemi, stangreci i szoferzy, oczekujący na swych panów i wszyscy powtarzali:

— Nie trafili.

Piotra Cartelegue'a i Karola Turnera okrążył już cały tłum sportowców, klubowców, dziennikarzy. Rzadko zdarzało się widzieć przy pojedynku taki napływ publiczności. Wiele na to wpłynęła znana powszechnie i bardzo lubiana ogólnie osobi-

stość króla stu dwudziestu koni; lecz więcej jeszcze tu zdziałały zabiegi jego przeciwnika.

Panajon bowiem zatelefonował do wszystkich prawie główniejszych dzienników paryskich, podając fałszywe nazwisko i przedstawiając się za przyjaciela Piotra Cartelegue'a, rozgłosił to spotkanie między australskim milionerem Karolem Turnerem a zwycięscą wyścigów samochodowych. Jako ważny szczegół komunikował, iż ma nastąpić czterokrotna wymiana kul na przestrzeni dziesięciu kroków.

Dzienniki przed podaniem do ogólnej wiadomości tej nowiny, starały się w pewnej mierze o jej sprawdzenie. Reporterzy zjawili się zaraz u Piotra Cartelegue'a, który jednak, nie przecząc niczemu, nie chciał dać żadnych wyjaśnień. Wyszukali także natychmiast przy ulicy Boissy d'Anglais cudzoziemskiego milionera, który okazywał straszne oburzenie z powodu niedyskrecyi przyjaciela młodego sportsmana. Dziennikarze wysnuli z tego milczenia, iż przyjaciel Cartelegue'a mówił prawdę. Wkrótce potem zakomunikowano znowu prasie przez telefon nazwiska świadków, miejsce, a także dzień i godzinę spotkania. Ponadto podano także bliższe szczegóły, odnoszące się do Karola Turnera. Pisano, iż gentleman ten należy do jednej z najstarszych i najszlachetniejszych rodzin angielskich, że osiadł w Australii i tam na wyrobie czekolady dorobił się milionowego majątku, dodawano przytem, iż obecną podróż swą po Europie przedsięwziął w celu założenia trustu czekoladowego. Szczególniej szeroko rozpisywały się o tem wieczorne gazety.

Reporterzy, nie mogąc interwiewować przeciwników przed końcem walki, zasypywali ich teraz gradem zapytań. Piotr uchylił się od dawania odpowiedzi i skierował się pośpiesznie do wyjścia, przed którem czekał na niego jego samochód. Karol Turner okazał się przystępniejszym i uśmiechnięty, stał otoczony rojem dziennikarzy.

— Tak, proszę panów — odpowiadał — miała nastąpić czterokrotna wymiana kul..... Zdaje mi się, że i pan Cartelegue tego chciał... Nie długo jednak widocznie obstawał przy tym zamiarze, gdyż jego świadkowie nie wspominali wcale o tem...

— A pan? Czy prosił pan swych świadków, by nie zgadzali się na tak ciężkie warunki?

— Owszem.

— Ach! ach! — ktoś szepnął.

— Tak! — potwierdził Panajon. — Nie chciałem się zgodzić na dwukrotną wymianę na piętnaście kroków, czego pragnął pan Cartelegue i nie przystałem nawet na jeden strzał na dwadzieścia kroków, jak domagał się tego w ostateczności mój przeciwnik...

— Och, och! — szepnął ktoś drugi.

Reporterzy zapisywali szybko te szczegóły. Markiz de Bandricour i młody Garrigue, odsunięci na bok przez dziennikarzy, oburzali się, słuchając tych wyjaśnień.

— Przecież on nie powinien poddawać się tym interwiewom — rzekł markiz półgłosem. Jest to zupełnie niewłaściwe.

— Widocznie takie zwyczaje panują w Australii — odezwał się Garrigue. — Interwiewowanie praktykuje się daleko częściej w krajach anglo saksońskich, niż we Francyi... Drażni mnie jednak najbardziej to wychwalanie się jego własnem tchórzostwem... Co za głupiec! Wstyd nam wczoraj było, gdy stawiał warunki, przy których marzyć nawet nie można było o trafieniu... A dzisiaj wyznaje to publicznie, choć nikt go o to nie pyta... Chełpi się tem!... Duret powierzył nam honor jakiejś podejrzanej osobistości.

— Trzeba go skłonić do milczenia...

— Za późno!... Cóż on może powiedzieć więcej?...

Panajon jednak nie skończył jeszcze wszystkiego.

— Panowie pojmują — ciągnął dalej — że nie miałem najmniejszego zamiaru ani chęci podstawiać się pod lufę pistoletu pana Cartelegue'a...

— Co on gada! — szepnął markiz do Garrigue'a. — Słyszy go pan?

— Oszalał chyba ze strachu?

— Okrywa nas śmiesznością.

— Jaki nietakt!

— A raczej jaki cynizm!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła M. Farbowska w Skawinie.

Pierwsza i druga, choć tylko fikcyjna,
Jeżeli wprawnie twarz twoją zakryje,
Kim jesteś człecze? — Ni straż policyjna
Ni oko mędrca, ni tłum nie odkryje.

Czwarta i pierwsza, dobra dla salonu
Na rauty, bale lecz nigdy dla serca;
Gdy pragniesz szczęścia zażywać do zgonu
Nie prowadź nigdy takiej do kobierca!

Trzecia i pierwsza, piękna, gdy stylowa,
Gdy dzieło mistrza w swojem wnętrzu mieści
To wprost bezcenna, czy stara lub nowa
I mile oko swym wyglądem pieści.

Pierwszej literę, gdy zmienisz na inną,
I gdy ją złączysz tak z drugą, jak czwartą,
Znajdziesz przyrody igraszkę niewinną,
A jednak piękną i zachwytu wartą.

Pierwsza i trzecia szczęścia, jakże złudna,
Jak na manowce często wiedzie człeka,
Piękna jak bóstwo, jako tęcza cudna,
Lecz jakby motyl przed nami ucieka.

Trzecia i czwarta, gdy od duszy bratniej
Lub przyjaciela, nie pogardzaj oną,
Bo często ze złej wyrwie ciebie matni.
Tak bywa dobrą i jakby natchnioną.

Całość zabawa. Gdy wykwintnych duchem,
Z attycką solą słów popisy śmiałe,
Jeżeli innych, to uciekaj z uchem!

. . . .

Całość, to nieraz życie nasze całe!

Trójkąt magiczny.

Ułożył W. K. Zborów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstał szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów w pierwszym rzędzie poziomym i pionowym utworzą imię i nazwisko słynnego kompozytora (Wiedeń).

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Stolica Madagaskaru. 3. Miasto na Wołyniu. 4. Powieściopisarka polska. 5. Przydomek jednego z królów angielskich. 6. Dziki gołąb. 7. Imię żeńskie. 8. Zwierzę (wyraz staropolski). 9. Inaczej głupiec. 10. Inaczej przyjemnie. 11. Rodzaj głosu. 12 Egipski bóg słońca. 13. Spółgłoska.

Zadanie literackie.

Ułożył L. P. S. Przemyśl.

Wynaleść po jednym utworze podanych niżej pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko zmarłego już francuskiego powieściopisarza.

Żuławski ?
Gawalewicz ?
Kraszewski ?
Niemojewski ?
Sienkiewicz ?
Tetmajer ?
Prus ?
Orzeszkowa ?

Łamigłówka.

Ułożył W. K. Zborów.

Z każdego z podanych niżej wyrazów wyjąć po jednej literze i utworzyć z nich nowe przysłowie:

Raj, maj, kij, koc, mur, bór, gaj, bób, noc, gra, muł, kit, rak, koń, bój, ból, gil, kra, tur, łeb, mir, men.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła W. Budzianowska, Matyjowce.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Niwa, cep, kije, huk, tum, ou.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Kazimierza Przerwy Tetmajera*: **Zatracenie.** Romans. Część I. i II.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie